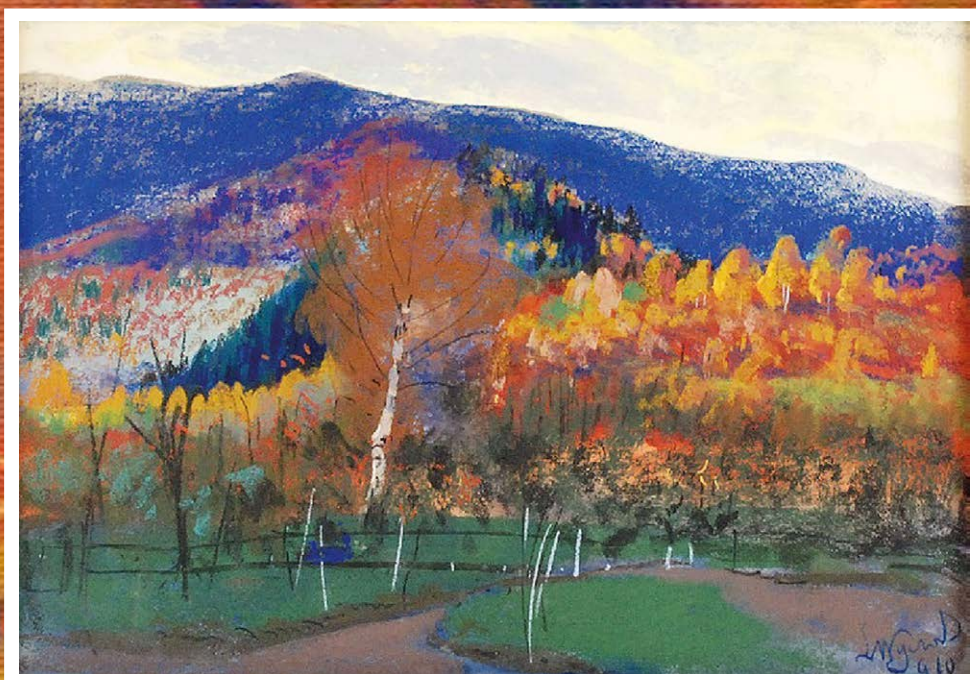


FORUM 98

MYŚLI WOLNEJ

krakowski magazyn racjonalistów



Leon Wyczółkowski
Góry jesienią, 1910

W numerze m.in.:

- **Tadeusz Żeleński-Boy**, *Największa zbrodnia prawa karnego*
- **Bogumił M. Woźniakowski**, *Siostry, czyli o kobietach w polskiej masonerii*
- **Józef Kabaj**, *Początki religioznawstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim*
- **Nowy cykl: Reminiscencje**
- **Felietony**



OD REDAKCJI

1 *Zgoda*

TEMATY SPRZED LAT

2 Tadeusz Boy-Żeleński – *Największa zbrodnia prawa karnego*
Wstęp i opracowanie – Piotr Augustynek

MYŚLAĆ BELFREM

7 Piotr Augustynek – *3 razy Z*

SZLAKIEM SZTUKI KRÓLEWSKIEJ W POLSCE

9 Bogumił M. Woźniakowski – *Siostry, czyli kobiety w polskiej masonerii*

18 Krzysztof Woźniakowski – *Wierszopisarskie Juwenilia Andrzeja Nowickiego*

22 *Zdarzyła się nam wpadka*

BOYOWNICY

23 Fryderyk Nietzsche – *Rozprawa druga, pożyteczność i szkodliwość historii dla życia*

OKIEM FILOZOFA

34 Józef Kabaj – *Osobowość*

35 Lech Mazurek – *O humanizmie przez pryzmat idei Ludwika Zamenhofs i Paula Kurtza*

40 Józef Kabaj – *U źródeł religioznawstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim*

REMINISCENCJE

41 Sławomir Tabkowski – *Katyńska trauma*

MATEMATYKA NIE BOLI

45 Małgorzata Markiewicz – *Wpływ nauczycieli matematyki na efekty nauczania*

SPACER PRZEZ HISTORIĘ

47 Danuta Stolarek – *Kobiety Rusi Kijowskiej i Moskiewskiej*

POD NIEBEM PARYŻA

57 Renata Szubańska – *Marais*

FELIETONY

60 *Rozmowy przy obieraniu grzybów*

61 *Jedenaste przykazanie*

62 *Rozważania pod pomnikiem Boya – 4 lipca 2023*

RADA PROGRAMOWA:

prof. dr hab.
Krzysztof Woźniakowski
– przewodniczący Rady,

Członkowie:

prof. dr hab. Adam Chmielewski,
prof. dr hab. Stanisław Ignacy Fiut,
prof. dr hab. Jerzy Kochan,
prof. dr hab. Jerzy Kornaś,
prof. dr hab. Józef Lipiec
dr Paweł Sękowski,
prof. dr hab. Piotr Szydłowski,
prof. dr hab. Jan Woleński.

ADRES REDAKCJI:

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
tel. 12 423-50-16; 501 567 547
e-mail: j.kabaj@wp.pl
sekretarz redakcji: tel. 501 286 053

Wydawca:

Rada Wojewódzka
Towarzystwa Kultury Świeckiej,
30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
www.forummysliwolnej.pl
Dom Fundacyjny
im. Lidii i Leona Świeżawskich

Skład, łamanie i druk:

Agencja Reklamowa Novum
31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8
www.novum.krakow.pl

ISSN 1507-4781, Index 325813

Redaktor naczelny: Józef Kabaj. **Zespół redakcyjny:** Piotr Augustynek (sekretarz), Sławomir Brodziński, Mieczysław Jakubiec, Antoni Pietryka, Artur Kozioł (red. techniczny). **Współpraca redakcyjna:** Alicja Górowska.

Opracowanie graficzne: Piotr Augustynek.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmiany tytułów. Nie odsyłamy materiałów niezamówionych. Artykuły naukowe są recenzowane przez samodzielnych pracowników nauki.

Portrety postaci historycznych oraz reprodukcje dzieł sztuki zaczerpnięte z zasobów Wikipedii.

ZGODA

– Tak jest – zgoda, / A Bóg wtedy rękę poda. Ta wypowiedź Wacława jest puentą *Zemsty* Aleksandra Fredry. Komedii.

Jaka zgoda? Są – i to od dawna – różne opinie na ten temat. Na przykład, że zgoda buduje, a niezgoda rujnuje. Nawet i takie, że to nie *liberum veto* było powodem upadku Rzeczypospolitej, lecz właśnie... zgoda!

Oto wiadomość z Londynu (z 25.05.1952): „Amerykanie wierzą we wszechmoc dolara! Rosjanie – we wszechmoc N.K.W.D. Anglicy wierzą w – pancerniki! Murzyni – w talizmany. A Polacy – w zgodę narodową! Przeciętnie rozgarnięta papuga, powtarzając w kółko: „Zgoda! Trzeba nam zgody!”, mogłaby należeć do grona polskich mężów stanu. Taką by receptę miała na wszystko co i oni.

Fredro wyraził szczyt naszego myślenia politycznego pisząc: „Zgoda! Zgoda!... A Bóg wtedy rękę poda”. Jest to jaskrawe sfalszowanie nauk płynących z Pisma św.

Czy Pan Bóg jest za zgodą, czy przeciw niej? Przeciw, oczywiście! I to zdecydowanie!

Jedynym przykładem w dziejach kiedy cała ludzkość – zgodnie! – podjęła wspólną akcję, to budowa wieży Babel. Pan Bóg nie był zadowolony.

Celny piorun, małe trzęsienie ziemi, brak cegieł – tysiąc było sposobów zepsucia szkodliwej roboty. Ale Pan Bóg wymierzył cios nie w samą wieżę, lecz w zgodę! Pan Bóg uznał, że z powszechnej zgody nigdy nic dobrego ludzkości nie przyjdzie. Więc, mieszając języki, uniemożliwił zgodę i zgodne poczynania raz na zawsze.”

Tolle et lege! – weź i przeczytaj! (Aureliusz Augustyn, za pozwoleniem).

Tak więc nie ma zgody i nie będzie, jak oznajmia Pismo. Również w narodowej interpretacji najważniejszego wydarzenia w dziejach, jakim jest Zbawienie, gdzie Matka Boska była Górką, wobec czego Pan Jezus nie był Żydem. Jako że Żydem jest – zgodnie z Księgą – tylko ten, kogo urodziła Żydówka.

No to może się jednak pogodzimy przy urnie? Wbrew Pismu?

RED.



PROTEST SKUTECZNY POTRZEBNY OD ZARAZ

Przytoczony poniżej tekst naszego PATRONA to kolejny dowód na to, że na przestrzeni wieków wszelkie zmiany są możliwe. Najtrudniej jednak przeprowadzić zmiany w mentalności.

Decyzja kobiet o własnym ciele, wolności wyboru, kim kobiety będą, czy o swoim życiu będą decydować same, czy pod presją mężczyzn ciągle nie znajduje racjonalnego wyboru. Wciąż nie potrafimy wydostać się z mroków średniowiecza, choć Europa, tak pogardzana przez partię frustratów marzących o dyktaturze dawno pozbyła się haniebnego garbu. Tkwimy wciąż w mentalnym skansenie. Dziwi to tym bardziej, że elektorat kobiety jest większy niż liczba wyborców płci męskiej. Dziwi też to, że o prawach kobiet, o ich cielesności decydują mężczyźni niemłodzi, zaplątani w fałdy sutanny. Żaden z nich nie dokonał nigdy choćby tak prozaicznego wysiłku, jakim jest banalna zmiana pieluch, czy pomoc dziecku w odrabianiu lekcji.

Jak to jest, że większość bezwolnie poddaje się mniejszości? Jak to jest, że to mniejszość tworzy potworne buble prawne, a na dodatek dorabia do nich bezczelną, cyniczną ideologię? Skąd ta niemoc kobiet?

A przecież jest prosty sposób na zerwanie z piekłem kobiet. Wystarczy kartka wyborcza i wyborcza większość.

A zatem...

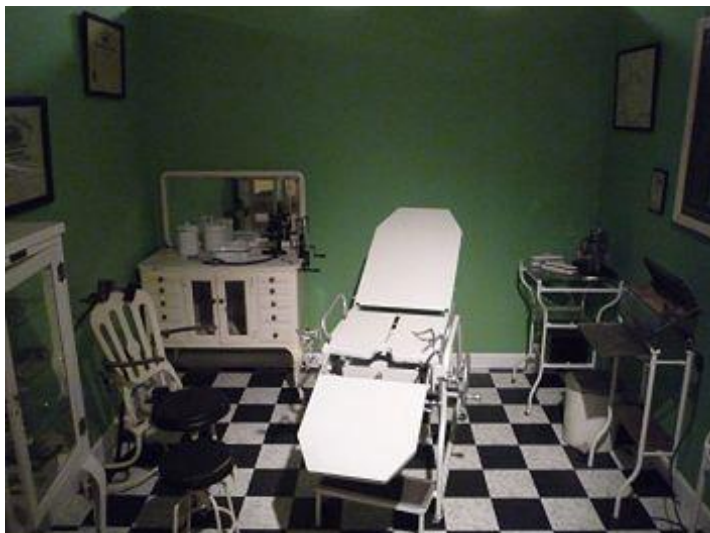
*Wstęp i opracowanie
Piotr Augustynek*

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

NAJWIĘKSZA ZBRODNIA PRAWA KARNEGO

„*Das grösste Verbrechen des Strafgesetzes* — „największą zbrodnią prawa karnego” — nazwał niemiecki uczony paragraf, obowiązujący dotąd we wszystkich prawie ustawodawstwach, a naznaczający ciężkie kary za przerwanie ciąży. Kary te grożą zarówno matce, jak tym, którzy jej w przerwaniu ciąży pomagają. Równocześnie większość kryminologów stwierdza, że prawo to nie ma żadnego wpływu, że liczba sztucznych poronień wzrasta w ogromny sposób. Życie zawsze było

w tej mierze silniejsze od ustaw i od sankcji karnych; tym bardziej okazuje się nim życie nowoczesne w tak zmienionych płynące warunkach. Toteż — stwierdzają to znowuż wszyscy jednogłośnie — paragraf ów jest martwą literą; okoliczności, w których prawo przychodzi do głosu, są znikomo rzadkie w stosunku do olbrzymiej ilości wypadków spełnianego przestępstwa. Zatem — powiedziałaby ktoś — paragraf ten jest obojętny: skoro istnieje na papierze, ale się go nie stosuje, można go uwa-



Lata międzywojenne – gabinet ginekologiczny

zać za formę niewinnego moralnego protestu przeciw nagannym obyczajom?

Niestety, tak nie jest; paragraf ten; nie mający siły, aby coś pomóc, posiada olbrzymią moc, aby szkodzić.

Przychodzi do głosu jedynie prawie w wypadkach śmierci matki; wówczas sroży się i sądzi; ale, gdyby wejrzeć bliżej, ujrzałoby się, że najczęściej ta właśnie ustawa jest śmierci przyczyną. Bo ten paragraf, niezdolny zapobiec przerywaniu ciąży tam, gdzie imperatyw życia, mocniejszy niż wszystkie kodeksy, zmusza matkę do niego, ma wszakże na tyle siły, aby tę matkę pozbawić umiejętnej pomocy i pchnąć w ręce karygodnego — tu już naprawdę *kary godnego* — partactwa. Gdyby zestawić wypadki śmierci młodych kobiet, wypadki ciężkich i trwałych schorzeń, które z obecnego bezdusznie podtrzymywanego stanu rzeczy wynikają, zdrzeliliby może ci, którzy w zaciszu wygodnego gabinetu układają swoje ustawy. A gdyby doliczyć inne, pośrednio wynikające z nich skutki: samobójstwa, dzieciobójstwa i inne kłęski, wówczas zrozumielibyśmy, z jaką słusnością nazwano ten artykuł „największą zbrodnią prawa karnego”.

A nie jest to bynajmniej głos odosobniony. Przeciwnie, wszyscy, którzy mieli spo-

sobność zetknąć się z tą sprawą, godzą się na jedno: na bezsilność paragrafu i gorzej niż bezsilność, bo jego działanie w sensie ujemnym. Jakimż cudem tedy może on istnieć, może się ostać? Dzieje się to tym, że kwestia jest nader skomplikowana i trudna — tak że, można by powiedzieć, po prostu „strach ją ruszać”; — że jest splotem mnóstwa rzeczy, że obrosły ją całe warstwy pojęć i przesądów, gromadzących się na przestrzeni wieków. Względy prawne, etyczne, lekarskie, społeczne, mają tu głos: dawne rozróżnienia teologiczne spotykają się z nawykami militarystyki, obliczającego na dziesiątki lat naprzód ilość bagnetów; niechęć do tknięcia jednej cegiełki z budowy, która okazałaby się może zmurszałą, rutyna myśli... A wszystko to pokrywa swoim płaszczem obłuda społeczna, przesłaniająca cały kompleks najbardziej żywotnych zjawisk.

Uczynić biedną dziewczynę matką, pozbawić ją pracy dlatego, bo się spodziewa macierzyństwa, kopnąć ją z pogardą, zrzucić na nią cały ciężar błędu i jego skutków, i zagrozić jej latami więzienia, jeżeli, oszalała rozpaczą, chce się od tego zbyt ciężkiego na jej siły brzemienia uwolnić — oto filozofia praw, które, aż nadto znac, były przez mężczyzn pisane! Głosić wniosłość teorie o „prawie płodu do życia”, znów gro-

zić matce więzieniem w imię praw tego płodu, ale równocześnie nie troszczyć się o to, aby nosicielka tego płodu miała co do ust włożyć... I rzecz szczególna, ten sam płód, nad którym trzęsą się ustawodawcy, póki jest w łonie matki, w godzinę po urodzeniu traci wszelkie prawa do opieki prawnej, może zginąć pod mostem z zimna, gdy matka — którą jej „święte” macierzyństwo czyni nieraz wyrzutkiem społeczeństwa — nie ma dachu nad głową.

Ale nie trzeba szukać aż tak jaskrawych przykładów. Ileż zmieniło się w świecie od czasu, gdy tworzyły się te pojęcia prawne! Kobieta stała się równowartościowym obywatelem, zajęła miejsce we wszystkich dziedzinach, u wszystkich warsztatów pracy, nieograniczone macierzyństwo nie jest już, nie może być jej ideałem. Zmieniły się warunki życia. Zmienił się i stan medycyny. Przerwanie ciąży stało się faktem potocznym wcale nie tylko w wypadkach wyjątkowych życiowych katastrof; stało się faktem częstym w życiu małżeńskim, praktykuje je niejedna pani sędzina, niejedna pani prokuratorowa... Ba, sam członek Komisji Kodyfikacyjnej, w tym samym dniu, w którym uchwała straszliwe kary za przerwanie ciąży, po posiedzeniu odwiedzi może swoją magnifikę w lecznicy, gdzie odbyła z komfortem ten zabieg, aby oszczędzić płodnemu prawodawcy piątego małżeństwa... I pan kodyfikator nie odczuwa żadnej rozterki duszy, żadnej sprzeczności...

Bo co do tych wypadków, to nie ma obawy, aby się dostały pod srogi miecz prawa! I w tym jeszcze ohyda paragrafu.

Jak wszystkie paragrafy wspierające się na obłudzie społecznej, tak i ten godzi jedynie w biedaków. Jest nieetyczny, bo trafia przypadkowe ofiary pośród dziesiątków tysięcy bezkarnych; jest niedemokratyczny, ponieważ zapewnia przywilej bezkarności tym, którzy i tak są uprzywilejowani.

Toteż postawa społeczeństwa w tej kwestii jest zupełnie zdecydowana. Podczas gdy nasi prawodawcy traktują w swoim projek-

cie przerwanie ciąży na równi z dzieciobójstwem (!!), społeczeństwo — ubolewając nieraz nad jego koniecznością — absolutnie nie uważa go za występpek. Wręcz przeciwnie, mimo frazesów o dostojności macierzyństwa, tysiąc razy łatwiej „przebaczy” społeczeństwo matce przerwanie ciąży niż urodzenie nieślubnego dziecka. „Zastanówmy się — mówił jeden z prawników na ostatnim zjeździe, czy gdyby który z nas wiedział, że jego siostra dopuściła się tego czynu, czy uważałby ją za zbrodniczkę?” — „W takim razie jesteśmy wszyscy przestępcami” — mówił znów na innym zebraniu do swoich kolegów pewien prokurator. Gdyby prawo zechciało działać, trzeba by dla samej Warszawy zbudować więzienie rozmiarów sporego miasta, aby tam co rok pomieścić kilkadziesiąt tysięcy dobrowolnie roniących kobiet. Bo w praktyce społeczeństwo zajęło stanowisko równie zdecydowane: uważa prawo za nieistniejące. Niestety, jak wspomniałem, istnieje ono, ale tylko aby szkodzić.

Bo to jedno jest pewne, że jakkolwiekby się ktoś zapatrywał na sprawę przerywania ciąży, nie należy ona do rzędu zagadnień, które załatwia się więzieniem, choćby i dożywotnim! Wniknąć w istotę tych stosunków, szukać na nie lekarstwa, oto zadanie prawodawcy.

Zagadnienia tego nie można traktować odrębnie i mechanicznie; trzeba je rozważać i leczyć w całym kompleksie zjawisk.

Jesteśmy w fazie tworzenia nowego kodeksu, nasza Komisja Kodyfikacyjna w pierwszym swoim projekcie wypowiedziała się w tej mierze. Jak, o tym pomówimy; niech tu wystarczy stwierdzenie, że zajęła stanowisko bezduszne i formalistyczne.

I oto w końcu września odbył się w Warszawie zjazd polskich prawników. Jako jeden z głównych punktów w sekcji prawa karnego, której przewodniczył p. Al. Lednicki, postawiono sprawę przerywania ciąży i jej „karalności”. I oto — fakt nieocze-



Poradnia świadomego macierzyństwa w Warszawie

kiwany może dla samych uczestników kongresu — prawie wszyscy wypowiedzieli się w duchu wręcz przeciwnym stanowisku Komisji Kodyfikacyjnej, to znaczy przeciw karalności tego czynu. Wielkie wrażenie wywarło przemówienie b. prezesa Sądu Apelacyjnego, p. Czerwińskiego, przeszło siedemdziesięcioletniego starca, który, na podstawie kilku dziesiątków lat swojej praktyki, żądał zupełnego zniesienia złowrogiego paragrafu; nie mniejszą sensacją była opinia prezesa Sądu Najwyższego, p. Mogilnickiego, również za bezkarnością. Wnioski Tow. Kryminologicznego, stawiającego zasadę zupełnej niekaralności w pierwszych trzech miesiącach przerwania ciąży, reprezentowali prof. Grzywo-Dąbrowski, adwokat Rundo, dr Battawia i in. Pani Wanda Grabińska, pierwszy sędzia dla nieletnich, podnosiła niemoralność wyodrębnienia tego zjawiska z całokształtu życia społecznego i mechanicznego rozwiązywania go więzieniem. „Ci, co żądają surowych kar za przerwanie ciąży, poniżają kobietę do rzędu samicy ssaka” — wołał adwokat Dwernicki. Najmniej liberalni żądali bodaj bezkarności samej matki i szerokiego

uwzględnienia „wskazań społecznych” do przerywania ciąży, tak jak dziś uwzględnia się wskazania lekarskie. Sam referent, prof. Glaser, żądając w zasadzie utrzymania karalności, uznał wskazania prawne (np. gdy ciąża jest owocem zgwałcenia) i socjalne do przerywania ciąży.

W ogóle trzeba zaznaczyć, że uczestnicy zjazdu szli w swoich żądaniach o wiele dalej niż pp. referenci; ta drażliwa kwestia ma to do siebie, że ktokolwiek zabiera w niej głos „oficjalnie”, natychmiast czuje się skrępowany naciskiem obyczajowej obłudy i traci odwagę publicznego bronięcia zapatrywań, które nieraz wyznaje prywatnie. Bądź co bądź Wiadomości II-go zjazdu prawników notują, że „w dyskusji nad referatem i koreferatem o spędzeniu płodu wypowiedziano się *przeważnie za bezkarnością tego czynu z modyfikacjami jego karalności w okresie przejściowym w szczególnie określonych przypadkach*”. (To stwierdził przewodniczący zjazdu, na zebraniu ogólnym dn. 2 października 1929).

Zjazd — taka była przyjęta zasada — nie powziął żadnych uchwał, co mu gani w ar-

tykule swoim w „Tygodniu” adwokat Zygmunt Nagórski. Uchwała podjęta przez takie ciało miałyby swoje poważne znaczenie. Ale i tak, same obrady te są równoznaczne z wotum nieufności dla naszej Komisji Kodyfikacyjnej co do tego punktu. I nie tylko u nas spotykamy ten objaw. Kwestia przerwania ciąży i jej karalności jest od dawna przedmiotem dyskusji w wielu krajach Europy. Jedynie u nas było o niej głucho, pomnażała ona liczny poczet kwestii, o których się nie mówi.

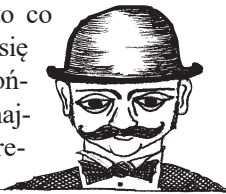
A gdzież o niej mówić, jak nie u nas? Gdy gdzie indziej prawa się ulepsza lub konserwuje, u nas się je dziś tworzy. Jak się je tworzy? Ot, schodzi się kilku poważnych — och, jak poważnych! — panów, którzy, wchodząc do sali obrad, starają się pilnie zapomnieć o tym, że są ludźmi, że tam, za oknami gabinetu, huczy i pędzi życie, że to, co oni piszą na papierze, to jest pisane na ludzkiej skórze, że to, co dla nich jest przedmiotem kontrowersji prawniczej, jest dla innych nieraz kwestią życia i śmierci. I pichcą sobie od niechcienia te prawa, a to co oni upichcą, w tym potem męczą się całe pokolenia. I jeszcze nie skończyli swego dzieła, a już grono najpoważniejszych kolegów — ba, pre-

zes Mogilnicki sam jest członkiem Komisji Kodyfikacyjnej! — krzyczy im: „Prześcacie, bo się źle bawicie!”

Zdaje mi się tedy, że najwyższy jest czas, aby przerwać to zbożne milczenie; aby wydobyć na światło dzienne kwestię tak złożoną, tak trudną, kwestię, w której tyle zawodów ma coś do powiedzenia, w której wreszcie mają chyba prawo głosu ci, a zwłaszcza te, których to prawo dotyczy — kobiety. Postaramy się oświetlić kwestię, zebrać poglądy na nią ludzi co najświatlejszych; postaramy się uświadomić kobiety co do sposobu, w jaki traktują ich najboleśniej sprawy panowie prawnodawcy. Poprowadzimy, jeżeli będzie trzeba, przed sąd trzydzieści tysięcy kobiet, które oskarżą się same i powiedzą: „Prosimy, zamknijcie nas do więzienia, ale *wszystkie*!” Niech rzecz dojdzie do absurdu. Bo można niedorzeczne prawa jakiś czas cierpieć przez szacunek dla ich dawności, ale nie ma chyba racji od niedorzecznych praw zacząć? □

Piekło Kobiet
„Biblioteka Boy’a”,
Warszawa 1929

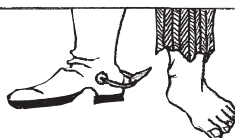
Drukarnia „Rola” J. Buriana



POSELSKA CHARYTATYWNOŚĆ

Król Ludwik XVI czytał przewodniczącemu rządu, Talleyrandowi, swoje rozporządzenie. W pewnym miejscu Talleyrand rzekł:

- Królu, tutaj jest mała niedokładność.
- Gdzie?
- Tam, gdzie mówi się o wynagrodzeniu dla posłów.
- Oni powinni pracować bezpłatnie, honorowo - odrzekł król.
- No, tak... tak. Ale to nas będzie więcej kosztowało.



3 razy Z

Ten tytuł to nie chochlik drukarski. Prowokacją też nie jest. Niebawem wszystko stanie się jasne. A zatem...

Jak co roku we wrześniu mamy sezon na masowe i indywidualne jeremiady z okazji rozpoczęcia roku szkolnego. I to nie tylko przez ostatnie osiem lat, gdy osoby zarządzające edukacją jawiły się jako jaśkrawe zaprzeczenie cech, którymi winien się szczylić minister edukacji narodowej, a także nauki i szkolnictwa wyższego. Banałem byłoby wyliczać negatywne cechy osobowości i pracy tych osób. Szkoda czasu – wszyscy wiedzą, o co chodzi.

Gdy obecnie wszyscy nieomal ze zgromadzeniem i obrzydzeniem komentują czyny i słowa pisowskiego ministra (i słusznie), należy zgodzić się, że boleści współczesnej szkoły i uczelni nie są sprawą ostatnich ośmiu lat. Przypomnijmy sobie czasy poprzednich rządów.

Narzekano wówczas na fatalne zarobki nauczycieli? – Tak.

Piętnowano negatywną selekcję kandydatów do zawodu belfra? – Tak.

Wskazywano na zły stan bazy edukacyjnej? – Tak.

Krytykowano przestarzałe i niespójne treści programowe? – Tak.

Pytania można by jeszcze mnożyć, a odpowiedzi byłyby wciąż te same. Dlaczego?

Może dlatego, że nauka, wiedza, korzystanie z teorii w celu osiągnięcia celów praktycznych zawsze w Najjaśniejszej Rzeczypospolitej było czymś mało istotnym?

Może dlatego, że wiedza i jej siła sprawcza nijak nie pasowały do karykaturalnego wzorca Polaka-Sarmaty-Katolika-twardziela i nieomylnego patrioty?

Może dlatego, że nie było modne zastanawianie się nad tym, co lepsze: postawa bezmyślnego ciemniaka, który udrapowany



w barwy narodowe, dawał się zabić w imię cudzych interesów, czy ciężko pracującego „wykształciucha”, budującego zręby niemedialnej, ale trwałej normalności?

Stąd pewnie przekonanie, że bardziej potrzebny nam mit Siłaczki niż racja menadżera, wynalazcy, twórcy postaw cywilizacji i dobrobytu. Oczywiście jako polonista rozumiem i szanuję postać bohaterskiej nauczycielki, nieomal świętej, ale przecież to tylko literatura. Nie na Siłaczkach winna stać kondycja nauczania i wychowania młodych pokoleń. Teraz to już nie działa.

Dobry i skuteczny nauczyciel winien traktować swój zawód jako powołanie. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Jednakże dobry i skuteczny belfer to przede wszystkim dobrej (lub bardzo dobrej) klasy specjalista, a specjalistyczna usługa jest droga, ale warta swej ceny.

Bez zrozumienia i zaakceptowania tej prostej zależności będzie tak, jak dotychczas. Z kadencji na kadencję będziemy słyszeć płacz i zgrzytanie zębów, że z tą edukacją jest coraz gorzej. I tak to będzie trwało, trwało.

Swoją drogą zastanawiam się, dlaczego tzw. politycy (wszelkich orien-

tacji) tak alergicznie reagują na postulaty nauczycieli? Jeżeli się nie boją, to są bez wyobraźni. Pogarszająca się kondycja naszych szkół i uczelni zemści się na przyszłych pokoleniach. Na pokoleniach polityków również.

A może nasi tzw. politycy tak gardzą nauczycielami, bo szkoła była dla nich zbyt trudna? Może po prostu nie nadawali się do ciężkiej pracy uczniowskiej? Może, może.

Dla mnie swoistym znakiem czasu jest... ponadczasowość zaniedbywania szkoły, nauczycieli, programów, a w rezultacie samych uczniów. To już za długo trwa, a winy nie ma na kogo zrzucić.

I stąd tytuł tego tekstu. Łatwy do rozszyfrowania. Nasza współczesna szkoła jest biedna, zacofana programowo, niewydolna wychowawczo – w sumie nie na wiele przydatna młodemu człowiekowi wkraczającemu w dorosłość.

Młodzi ludzie mają świadomość tego tragicznego zjawiska i od dawna traktują szkolny etap w swym życiu przy pomocy trzech określeń:

ZAKUĆ, ZDAĆ, ZAPOMNIEĆ.

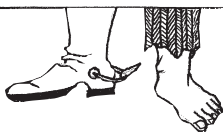
Szczęśliwego nowego roku szkolnego! □

Piotr Augustynek



TRUDNE POCZĄTKI

Inspektor generalny Szkoły Wojskowej w Brienne wystawił opinię elewowi (uczniowi szkoły podoficerskiej) Napoleoni Bonaparte w 1763 roku, w której między innymi stwierdził: „Wyróżnia się zdolnościami do matematyki, zna w wystarczającej mierze historię i geografię. Słaby w ćwiczeniach językowych. Będzie znakomitym marynarzem”.



BOGUMIŁ M. WOŹNIAKOWSKI

SIOSTRY, CZYLI KOBIETY W POLSKIEJ MASONERII

W 2023 roku mijają dwie rocznice związane z polską kobiecą masonerią. We wrześniu minie 30 lat, gdy dwie pierwsze Polki zostały inicjowane w żeńskiej masonerii, we francuskiej loży „Róża Wiatrów”, wchodzącej w skład Wielkiej Żeńskiej Loży Francji, natomiast w grudniu minie 25 lat od powstania w Warszawie żeńskiego „Trójkąta” (takiej namiastki loży, najmniejszej struktury wolnomularskiej, którą może utworzyć trzech masonów, z których przynajmniej jeden jest w stopniu mistrza). Dlatego też w poniższym tekście prezentuję kilka sylwetek polskich masek i nieco przybliżam kwestię udziału kobiet w ruchu wolnomularskim.

W powszechnej świadomości wolnomularstwo kojarzy się wyłącznie z męską domeną. Nie jest to tak do końca prawda, gdyż już w swoich początkach w wieku XVIII istniały i działały (w Polsce od 1768) tzw. loże adopcyjne. Loże te nie były jednak w pełni samodzielne. Funkcjonowały przy lożach męskich. Stosowano podwójne obsadzanie stanowisk a przewodniczył im zawsze Czcigodny (przewodniczący) loży męskiej, natomiast kobietę pełniącą najwyższą funkcję w loży określano mianem „Honorowej Towarzyszki Mistrza”. Loże te koncentrowały się na szeroko pojętej działalności filantropijnej oraz na sferze kultury, literatury i muzyki.

Do czasu likwidacji wolnomularstwa na ziemiach polskich ukazem carskim z 1821 odnotowuje się ok. 20 loż adopcyjnych, przez które przewinęło się kilkadziesiąt kobiet – przede wszystkim z wyższych sfer (magnaterii i arystokracji).

Działalność loż adopcyjnych, jak i historia kobiecego wolnomularstwa – czy raczej miejsca kobiety w polskiej masonerii – praktycznie do dzisiaj nie doczekała się swojej monografii. Szczątkowe informacje można znaleźć w publikacjach m. in. Ludwika Hasa czy Mirosławy Dołęgowskiej Wysockiej. Za pierwsze całościowe opracowanie poświęcone lożom adopcyjnym można uznać nieopublikowaną pracę magisterską Katarzyny Jarzyny *Działalność kobiet w wolnomularstwie na ziemiach polskich w latach 1768-1821, Organizacja – literatura – rytuał*, napisaną pod kierunkiem prof. Elżbiety Wichrowskiej na Uniwersytecie Warszawskim (E. Wichrowska to znawczyni poezji masońskiej, autorka m.in. *Antologii poezji masońskiej*, Warszawa 1995) i powstały na jej bazie artykuł *Pionierki z loż adopcyjnych w XVIII-XIX w.*, opublikowany w wydawnictwie *Suknia i fartuszek. Z dziejów wolnomularstwa kobiecego w Polsce XVIII-XXI w.* (2020).

Na zrównanie praw w świecie sztuki królewskiej kobiety musiały czekać jeszcze wiele lat. Stało się to dopiero pod koniec XIX w. we Francji.

Wielkim orędownikiem kobiet w masonerii był **Georges Martin (1844-1916)** – lekarz, społecznik, senator, uczestnik ruchów postępowych i wyzwoleniczych. To on walczył o przyjęcie do loży męskiej pierwszej kobiety **Marii Deraismes (1828-1894)**: demokratki, antyklerykałki, feministki – orędowniczki praw wyborczych dla kobiet. W styczniu 1882 roku została inicjowana do loży Les Libres Penseurs /Wolnomyśliciele/ w Pecq pod Paryżem, której Czcigod-

nym był właśnie Martin. Przez dziesięć lat Georges Martin i Maria Deraismes walczyli o równość praw kobiet w wolnomularstwie. W marcu 1893 roku inicjowali dziesięć kobiet i stworzyli Wielką Lożę Symboliczną Mieszana Le Droit Humain /Prawo Ludzkie/. Cel, jaki sobie ta loża stawiała w niczym nie odbiegał od celów innych loż męskich. Według ogłoszonej w 1896 roku konstytucji było nim: „Zgrupowanie pod swym sztandarem ludzi wszystkich ras, religii i narodowości, aby ustawicznie i wspólnie szukać środków zapewnienia każdemu możliwie największego dobrobytu materialnego i szczęścia osobistego, i aby pogodzić wszystkich ludzi, których dzielą bariery religii” (cyt. za <https://www.droithumain.pl/>).

Z czasem loża Droit Humain rozszerzyła swoją działalność na inne kraje europejskie i pozaeuropejskie, oraz przez kilkadziesiąt lat (do czasu utworzenia w 1952 pierwszej czysto kobiecej obediencji masońskiej – Wielkiej Żeńskiej Loży Francji) była jedyną obediencją, w której kobiety miały pełne prawa wolnomularskie.

Na ziemiach polskich ruch wolnomularski odrodził się na początku XX w. (szerzej pisałem o tym w nr 88 FMW) i w jednej z tych pierwszych loż – „Wolni Oracze” w Lublinie, założonej w 1912 przez Witolda Giełżyńskiego (1886-1966), dziennikarza, oraz Jana Hempla (1877-1937), działacza i ideologa ruchu spółdzielczego – pojawiły się Polki. Były to: Wanda Papiewska, prywatnie siostra Jana Hempla, inicjowana w 1912, oraz Jadwiga Marcinkowska, inicjowana w 1915. Obie inicjacje odbyły się w drodze wyjątku, za zezwoleniem Wielkiego Wschodu Francji, któremu loża lubelska podlegała. Niestety, nic więcej nie wiemy o ich działalności lożowej, poza tym, że uczestniczyły w pracach loży lubelskiej do jej zamknięcia w 1916.

Wanda Papiewska (1883-1974) była działaczką społeczną, kulturalno-oświatową i spółdzielczą. Około 1904 związała się z PPS, uczestniczyła w strajku szkolnym



Wanda Papiewska

1905. Po rozłamie w PPS w 1906 opowiedziała się po stronie PPS-Lewicy. Od 1912 zamieszkała na stałe w Lublinie, gdzie między innymi była współzałożycielką Lubelskiej Spółdzielni Spożywców i sekretarzem tygodnika „Kurier Lubelski”. Z czasem jednak całkowicie poświęciła się działalności w ruchu spółdzielczym. W 1917-1939 była członkiem Rady Nadzorczej Związku Spółdzielni Spożywców, a w 1920-1922 Rady Nadzorczej Związku Robotniczych Stowarzyszeń Spółdzielczych. Działała w Lidze Kooperatystek i w Sekcji Spółdzielczej TUR. W okresie 1921-1926 była wiceprzewodniczącą Rady Miejskiej w Lublinie, a w 1936 współorganizowała lubelski oddział Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Po II wojnie kontynuowała działalność spółdzielczą będąc m. in. przewodniczącą (1944-1945) i członkinią Rady Głównej Związku Rewizyjnego Spółdzielni RP (1945-1948), oraz członkinią Naczelnej Rady Spółdzielczej (1948-1961). Zmarła w styczniu 1974 w Lublinie.

Jadwiga Marcinkowska (1872-1943) była powieściopisarką, działaczką społeczną, urzędniczką. Studiowała na Uniwersytecie Jagiellońskim (1898-99) i w Paryżu (1900-01). Jako literatka debiutowała w 1898. Brała udział w pracach Związku Młodzieży Polskiej „Zet” i Ligi Narodowej oraz Towarzystwa Oświaty Narodowej

wej. Między 1907 a 1913 podróżowała po Bliskim Wschodzie i Indiach, gdzie związała się z ruchem teozoficznym w trakcie swojego pobytu w Adyarze, gdzie mieściła się centrala Towarzystwa Teozoficznego (obecnie w granicach administracyjnych miasta Chennai, dawnej Madras, w stanie Tamil Nadu). W 1913 była współzałożycielką Ligi Kobiet Pogotowia Wojskowego, a w latach 1914-1917 jej przewodniczącą. W 1915 była jedną z przywódczyni Związku Ludu Polskiego; po jego wchłonięciu przez PSL członkinią zarządu lubelskiego PSL. W 1915-1916 była redaktorką ukazujących się w Lublinie czasopism „Sprawa Polska” i „Polska Ludowa”. Po odzyskaniu niepodległości przeszła do pracy w dyplomacji, gdzie w 1922-1938 pracowała w Konsulacie Polskim w Chicago i w ambasadzie w Waszyngtonie. Zmarła w styczniu 1943 w Warszawie.

Zarówno Papiewska jak i Marcinkowska były żeńskimi wyjątkami w polskiej masonerii. Jeszcze bowiem przez wiele lat, praktycznie do czasów nam współczesnych, polskie wolnomularstwo było w decydującej większości zdominowane przez mężczyzn. Nie zmieniły tego również loże Droit Humain, które od połowy lat 20 XX w. pojawiły się w Polsce (więcej o tym w nr 90 FMW). Szacuje się, iż w okresie międzywojennym przez loże Droit Humain przewinęło się ok. 40 kobiet, co na ogólną liczbę członków tej obediencji (szacowaną na ok 300), stanowiło niespełna 13% jej stanu osobowego.

Obrządek mieszany Droit Humain pojawił się w Polsce za sprawą **Wandy Dynowskiej** (1888-1971), literatki, tłumaczki, teozofki. Z wolnomularstwem związała się w 1924, gdy została przyjęta do jednej z londyńskich łóż DH. W 1925 była współzałożycielką kółka DH w Warszawie, a w 1926 pierwszej polskiej loży DH „Orzeł Biały”. Reprezentowała polski obrządek mieszany w 1930 na Konwencji Powszechnego Zjednoczonego Mularstwa w Wielkiej



Jadwiga Marcinkowska

Brytanii i Kolonii Brytyjskich, a w 1932 na Konwencji Federacji Francuskiej DH.

Obecnie w Polsce postać Dynowskiej jest znana szerzej jedynie w kręgu orientalistów, wolnomularzy, ezoteryków czy budystów. Nie ma na jej temat żadnego obszernego opracowania ani pełniejszej jej biografii; można znaleźć jedynie rozproszone teksty w niektórych periodykach. Największy zasób informacji o Dynowskiej znajduje się w materiałach Kazimierza Tokarskiego (1930-2007), który przygotował jej biografię; obecnie są one dostępne w Archiwum Nauki PAN i PAU w Krakowie.

Dynowska urodziła się w byłych polskich Inflantach na terenie historycznej Łatgalii, w miejscowości Istalsna (obecnie gmina Ludza na Łotwie). Studiowała na UJ oraz na uniwersytetach w Wilnie, Paryżu, Berlinie i Lozannie. Wyjątkowe uzdolnienia językowe i częste wyjazdy zagraniczne sprawiły, że władała biegle francuskim, włoskim, hiszpańskim i łotewskim; rosyjskim posługiwała się tylko w koniecznych przypadkach. Już w okresie wczesnej młodości zainteresowała się ezoteryzmem i czytała ówczesną dostępną literaturę na ten temat. Chociaż miała kontakt z rosyjskim środowiskiem teozoficznym, nie zdecydowała się przystąpić do Rosyjskiego Towarzystwa Teozoficznego; wybrała włoskie. W 1919 brała udział w Zjeździe Wszechświatowego Towarzystwa Teozoficznego w Paryżu, gdzie od Annie Besant (1847-1933), ówczesnej przywódczyni ruchu teozoficznego, otrzymała pi-



Wanda Dynowska

semne upoważnienie do założenia Polskiego Towarzystwa Teozoficznego, co nastąpiło w 1920. W latach 1923-1929 Dynowska pełniła funkcję jego sekretarza generalnego, a od 1929 do 1935 prezesa.

W 1935 wyjechała z Polski na Światowy Kongres Teozoficzny do Indii i tam pozostała do końca życia. Prawie natychmiast po uzyskaniu niepodległości przez Indie (1947) przyjęła obywatelstwo tego kraju. Jeszcze w latach trzydziestych XX w. poznała Gandhiego, zaprzyjaźniła z nim i współpracowała. To właśnie Mahatma nazwał ją „Umadewi – Świetlaną Duszą”. Z czasem określenie to zaczęto dodawać do jej nazwiska.

Po wybuchu II wojny podjęła próbę dostania się do Polski, lecz dotarła jedynie do Rumunii. Po powrocie do Indii opiekowała się polskimi uchodźcami i przez krótki czas pracowała w polskim konsulacie (mimo zastrzeżeń z polskiej strony, wynikających z tego, iż była zwolenniczką uzyskania niepodległości przez Indie). Zresztą nie wszyscy polscy uchodźcy ją aprobowali, głównie ze względu na jej światopogląd i noszenie sari, tradycyjnego kobiecego indyjskiego stroju. Czyniła jednak co mogła, aby Polaków wprowadzić w świat miejscowej kultury i warunków życia, a także ulżyć ich uchodźczym troskom.

Jeszcze w trakcie wojny, założyła (w 1944) w Bombaju Bibliotekę Polsko-Indyjską i w jej ramach wydała kilkadziesiąt

tomów przekładów na język polski (w większości swojego autorstwa) utworów z języka hindi, tamilu i sanskrytu.

W 1959 przeszła na buddyzm, współpracowała z będącym na wygnaniu w Indiach Dalaj Lamą i poświęciła się pracy na rzecz uchodźców tybetańskich, głównie dzieci.

Po II wojnie dwukrotnie odwiedziła Polskę: w 1960 i 1969. Zmarła w marcu 1971. Zgodnie z jej ostatnią wolą obrzęd pogrzebowy odbył się według zasad buddyzmu lamaistycznego – ciało zostało skremowane, a prochy rozsypane.

Pamięć Wandy Dynowskiej Tybetańczycy uczcili budując stupę (najprostszy typ buddyjskiej budowli sakralnej, odpowiadający chrześcijańskiej kapliczce) w pobliżu miejscowości Bylakuppe w stanie Karnataka, drugiej co do wielkości po Dharamsali osadzie tybetańskiej w Indiach, i nazwali „Tenzin Chodon” („Pani Lampa”), bo tak określali ją w rodzimym języku.

Wśród członkiń obrządku mieszanego DH w II Rzeczypospolitej można jeszcze wymienić **Wandę Gertz** (1896-1958). Jej właściwe nazwisko to von Schiess, pochodziła bowiem z saksońskiej rodziny od w. XVIII osiadłej w Polsce. Do wolnomularstwa została przyjęta w jednej z warszawskich łóż Federacji Polskiej DH i należała do samorozwiązania DH w grudniu 1938. Po 1945 była członkiem brytyjskiej loży Droit Humain „International Concord” nr 977 w Londynie. Prawie całe swoje życie związała z mundurem, najpierw skautowskim (w skautingu gdzie udzielała się od 1913), a później wojskowym.

Jej działalność w Legionach Polskich w latach 1915-1916 nadaje się na scenariusz filmu przygodowo-sensacyjnego, służyła bowiem w męskim przebraniu m. in. jako kanonier w baterii haubic 1 pułku artylerii lekkiej 1 Brygady. W latach 1916-1918 organizowała Oddział Żeński Polskiej Organizacji Wojskowej. W latach 1918-1919 pracowała w Komendzie Głównej Milicji Ludo-



Wanda Gertz

wej. W okresie 1919-1922 służyła w Wojsku Polskim w ramach Ochotniczej Ligi Kobiet; walczyła na froncie wschodnim. Od 1923 współorganizowała przeszkolenie wojskowe kobiet, a od 1935 pełniła funkcję instruktora Przysposobienia Wojskowego Kobiet.

Od 1923 do 1935 była urzędniczką w Referacie Personalnym Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych. Między 1935 a 1939 kierowała sekretariatem Muzeum Józefa Piłsudskiego w Belwederze. Jak wielu członków i członkiń polskiego DH należała również do Polskiego Towarzystwa Teozoficznego.

Brała udział w obronie Warszawy we wrześniu 1939. Została zaprzysiężona w Służbie Zwycięstwu Polski, następnie była żołnierzem ZWZ i AK. Uczestniczyła w powstaniu warszawskim. Po kapitulacji była komendantem oflagu IX C Molsdorf, utworzonego dla kobiet oficerów z powstania. W 1945-1946 została – z ramienia Sztabu Generalnego PSZ – inspektorem oddziałów kobiecych byłej AK. W 1946-1948 mianowana przez władze brytyjskie inspektorem kobiet – żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych (PSZ). Po zdemobilizowaniu pozostała w Wielkiej Brytanii. Zmarła w listopadzie 1958 w Londynie.

Wymienić należy także siostry Karaś – Ewelinę i Janinę.

Ewelina Karaś (1895-1965) była zawodowo związana z instytucjami oświaty dla dorosłych. Do wolnomularstwa została

przyjęta przed 1928 w loży „Orzeł Biały”. Była też członkinią Kapituły Róży i Krzyża, oraz Kapituły Królewskiego Sklepienia, grupujących masonów i masonki stopni wyższych (tj. powyżej trzeciego). Przynależność do DH łączyła z członkostwem w Polskim Towarzystwie Teozoficznym.

We wrześniu 1939 należała do pierwszej grupy konspiratorów, na której oparł się gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski tworząc Służbę Zwycięstwu Polski, następnie w ZWZ i AK. W marcu 1940 towarzyszyła generałowi (w przebraniu chłopki) w drodze z Warszawy do Lwowa. Po przekroczeniu niemiecko-radzieckiej linii demarkacyjnej została aresztowana. Zwolniona, powróciła do Warszawy angażując się w ruchu oporu. Po 1945 przez jakiś czas pracowała w Bibliotece Jagiellońskiej, uczestniczyła w konspiracji Henryka Józefowskiego, za co była więziona (1951-1956). W 1957-1959 przebywała w Indiach, głównie w Adyarze, a następnie w Holandii i Francji. Wznowiała działalność w ruchu teozoficznym wstępując do brytyjskiego Towarzystwa Teozoficznego. Zmarła w lipcu 1965 w Warszawie.

Janina Karaś (1903-1948) także związała się z oświatą dla dorosłych. W latach 1926-1939 pracowała jako referent w Instytucie Oświaty Dorosłych Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. W tym samym mniej więcej czasie co siostra została przyjęta do wolnomularstwa (zresztą do tej samej loży) i także była członkinią Kapituły Róży i Krzyża oraz Kapituły Królewskiego Sklepienia. Po 1945 afiliowała się do loży „International Concord” nr 977 (brytyjska DH). Osiągnęła 30 stopień wtajemniczenia obrządku szkockiego. W 1947 była orędownikiem afiliowania do tej loży gen. Karaszewicza-Tokarzewskiego.

Studiowała na uniwersytetach wileńskim i warszawskim oraz w Studium Pracy Społeczno-Oświatowej Wolnej Wszechnicy Polskiej. Jeszcze podczas studiów przystąpiła do Polskiego Towarzystwa Teozoficz-

nego. Brała udział w kampanii wrześniowej. Była członkinią Dowództwa Głównego Służby Zwycięstwu Polski, a później Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej, gdzie była szefem Oddziału V – K (łąączność konspiracyjna).

W powstaniu warszawskim została awansowana na majora, po czym w latach 1944-1945 znalazła się w niewoli (była zastępcą komendanta oflagu IX C Molsdorf). Od 1945 przebywała w Londynie, gdzie była m. in. współorganizatorką Koła AK oraz polskiego Ognia Wawel brytyjskiego Towarzystwa Teozoficznego. W 1948 wyjechała do Indii, gdzie w Adyarze w październiku 1948 utonęła.

Po przełomie czerwcowym 1989 inicjatorką odrodzenia obrządku mieszane go w Polsce była **Alicja Dworak**. Do wolnomularstwa wstąpiła w 1975. Była założycielką i pierwszym Mistrzem Łoży „Pierre et Marie Curie” w Lille, a po jej przeniesieniu do Polski w 1992 w Warszawie. Ponadto była założycielką i pierwszą Czcigodną działającą w Polsce mieszanej francuskojęzycznej Łoży „Rencontre Fraternelle” i wszystkich warsztatów wyższych stopni. Posiada najwyższy, 33 stopień wtajemniczenia. Przez trzy kadencje pełniła obowiązki przedstawiciela Polski w strukturach Międzynarodowej Federacji DH. Od roku 1957 wraz z mężem Jerzym (1936-2017), również wolnomularzem, który pełnił funkcję m. in. Prezydenta Federacji Polskiej DH, mieszkała, pracowała zawodowo (jako architekt) i działała we Francji. Do Polski wróciła po roku 1989.

Jedną z członkiń Łoży „Pierre et Marie Curie” była **Elżbieta Bocheńska** (1906-1994), posiadająca długi staż w obrządku mieszanym. Pod koniec lat 20 XX w. została przyjęta do łoży „Orzeł Biały” w Warszawie. W 1930 r. była współzałożycielką łoży „Radosna Przyszłość” i jej przewodniczącą do samorozwiązania Federacji Polskiej DH w 1938. Posiadała 33 stopień wtajemniczenia, była członkinią Kapituły „Róży i Krzy-



Alicja Dworak

ża” oraz Kapituły Królewskiego Sklepienia. Należała do Polskiego Towarzystwa Teozoficznego (nie jest znana data jej przystąpienia). Zajmowała się pracami organizacyjnymi w ośrodku w Mężeninie. Pochodziła z rodziny urzędniczej. Studiowała na UW (1924-1927) na Wydziale Filozoficznym (wydział matematyczny, przyrodniczy i chemiczny). Studiów jednak nie ukończyła z powodów osobistych (śmierć matki; jej ojciec Władysław Feinmesser zmarł w 1916).

W 1928 wyszła za mąż za Władysława Bocheńskiego (1902-1997), członka DH i Towarzystwa Teozoficznego. Pracowała dorywczo jako maszynistka, a w 1937-1939 etatowo w Kancelarii Sejmu. Początek wojny zastał ją w Warszawie, skąd wyjechała do Lwowa. Tam w 1940 została deportowana do obwodu nowosybirskiego. Z czasem udało się jej dostać do Uzbekistanu, gdzie trafiła do Pomocniczej Służby Kobiet 6 Dywizji Piechoty Armii Polskiej na Wschodzie, z którą wyjechała do Iraku, a następnie do Palestyny. W Palestynie pełniła funkcję sekretarki Gimnazjum Humanistycznego i Liceum działającego w ramach Junackiej Szkoły Kadetów przy PSZ oraz ukończyła dziesięciomiesięczny kurs księgowości z uwzględnieniem arytmetyki handlowej i korespondencji w języku angielskim i polskim. W 1947 zdemobilizowana, powróciła do Polski, gdzie pracowała do 1962 w bankowości. Zmarła we wrześniu 1994 w Warszawie.

Organizacyjny początek żeńskiego polskiego wolnomularstwa to rok 1998, kiedy to w Warszawie powstał Trójką, z które-

go w 2000 wyłoniła się pierwsza loża „Prometea”, a w 2010 druga – „Gaja Aeterna”. Obecnie funkcjonuje także loża doskonalenia „Lux Orientis” /Światło Wschodu/, skupiająca masonki stopni wyższych od 4 do 14. Polskie żeńskie loże wchodzą w skład Wielkiej Żeńskiej Loży Francji. Od 1998, czyli od powołania Trójkąta do dnia dzisiejszego, przez struktury organizacyjne żeńskiej polskiej masonerii przewinęło się około pół setki członkiń.

Kobieca masoneria pojawiła się w Polsce za sprawą, istniejącej od 1978 loży „Róża Wiatrów”, należącej do Wielkiej Żeńskiej Loży Francji. Jedną z członkiń tej loży, **Ewa Jaśkowska**, Polka mieszkająca w Francji od lat sześćdziesiątych XX w. i od połowy lat 80-tych należąca do „Róży Wiatrów”, postawiła sobie za cel utworzenie w Polsce loży kobiecej. W tym celu w 1992 skontaktowała się ze świeżo inicjowanymi w Wielkim Wschodzie Francji Polakami, a ci przedstawili jej pierwszą kandydatkę – Mirosławę Dołęgowską-Wysocką. Miało to miejsce w czerwcu 1993 w Warszawie. Po paru miesiącach Dołęgowska-Wysocka oraz Agnieszka Urbańska (druga Polka w kobiecej masonerii) zostały inicjowane w Paryżu jako pierwsze w dziejach polskiego wolnomularstwa kobiety z kraju.

Mirosława Dołęgowska-Wysocka to obecnie najbardziej znana i aktywna polska masonka. Do wolnomularstwa wstąpiła we wrześniu 1993, dwa lata później została czeladniczką, a w 1998 mistrzynią wolnomularską. W tymże roku powstał Trójkąt Wolnomularski w Warszawie, którego została przewodniczącą. Po utworzeniu w listopadzie 2000 loży „Prometea”, pierwszej polskiej loży kobiecej, została do niej afiliowana. Pełniła w niej funkcje: sekretarza, mówczyni, jałmużniczki, a od 2010 do 2013 – Czcigodnej. W listopadzie 2010 roku została założycielką drugiej polskiej loży kobiecej „Gaja Aeterna”; była w niej mówczynią, sekretarzem, pierwszą dozorującą, a od 2019 do 2022 Czcigodną.

Jest założycielką warszawskiej loży doskonalenia „Lux Orientis”, gdzie pełni funkcję sekretarza. W 2012 należała do grupy założycielskiej stowarzyszenia „Instytut Sztuka Królewska w Polsce”, grupującego zarówno czynnych masonów i masonki, jak również przyjaciół sztuki królewskiej nie będących wolnomularzami; od marca 2022 jest jego wiceprzewodniczącą. Od 1993 do 2018 (z przerwami), wraz z mężem Adamem Witoldem Wysockim (1924-2018), również wolnomularzem, współredagowała i wydawała periodyk „Wolnomularz Polski – pismo przyjaciół sztuki królewskiej”. W swoim warszawskim mieszkaniu założyła w 2021 Domowe Muzeum Wolnomularstwa im. Adama W. Wysockiego, (<https://masonskiemuzeum.pl/>), które od 2022 należy do Międzynarodowej Sieci Muzeów Domowych.

Ukończyła Liceum Plastyczne w Kielcach oraz dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie w 1986 uzyskała doktorat. Od 1985 publikowała m. in. w „Argumentach”, „Kulturze”, „Nie”, „Gazecie Prawnej”, „Nowych Ubezpieczeniach”, „Gazecie Ubezpieczeniowej”. W tej ostatniej była redaktorką naczelną, a od 2002 jednocześnie właścicielką. Jest autorką publikacji: *Ruch wolnomysłcielski i laicki w Polsce 1907 – 1939* (Warszawa 1987); *Plamy na lilijce: spory światopoglądowe w harcerstwie w latach 1911 – 1939* (Kraków 1988); *PoBoyowisko* (Warszawa 1992, 2016); *Czyn i Iza. Wspomnienia z Górk* (Warszawa 2004, 2008); *Pati i Rysiu*.



Mirosława Dołęgowska-Wysocka

Wierszyki dla dzieci (Warszawa 2012); *Aszera, żona Pana Boga* (Warszawa 2015); *Wiersze z kluczem* (Warszawa 2018); *Suknia i fartuszek. Z dziejów wolnomularstwa kobiecego w Polsce od XVIII do XXI w.* (Warszawa 2020, e-book, 2021); *Do mnie dzieci wdowy. Wolnomularze na Kielecczyźnie od XVIII do XXI w.* (Lydney 2023); *Masonka*, Lydney 2023 oraz wielu artykułów poświęconych wolnomularstwu, głównie kobiecemu.

Agnieszka Urbańska (z wykształcenia inżynier budownictwa lądowego) w marcu 1996 uzyskała stopień czeladniczki, a w sierpniu 1998 mistrzyni. W grudniu 1998 weszła w skład Trójkąta. W późniejszym okresie wycofała się z działalności masonskiej.

Do pionerek kobiecego wolnomularstwa należała również **Małgorzata Misiuna** (1945-2020), imię zakonne „Izis Iusta”. Do wolnomularstwa wstąpiła ona w październiku 1996, inicjowana w „Róży Wiatrów”, w 1998 uzyskała stopień czeladniczki, a w lipcu 1999 mistrzyni. W 1998 była członkinią Trójkąta. W listopadzie 2000 należała do założycielek pierwszej kobiecej polskiej loży „Prometea”, w której w latach 2004-2008 pełniła funkcję Czcigodnej. Po złożeniu tej funkcji zajęła się organizowaniem drugiej kobiecej loży, „Gaia Aeterna”, powstałej w listopadzie 2010; do 2013 była jej Czcigodną. Zakładała lożę doskonałości „Lux Orientis” i aktywnie w niej się udzielała. W 2012 należała do założycieli stowarzyszenia Instytut Sztuka Królewska w Polsce i była w nim wieloletnim sekretarzem i skarbnikiem. W lipcu 2019 została podniesiona do 30 stopnia Rytu Szkockiego Dawnego i Uznanego.

Ukończyła socjologię na Uniwersytecie Warszawskim, pracowała w Instytucie Socjologii i Filozofii PAN, gdzie uzyskała doktorat na podstawie pracy *Jakość i sposób życia społeczeństwa polskiego*. Gdy na początku transformacji ustrojowej nowe kierownictwo ISiF ją zwolniło – zatrudniła się w Zakładzie Promocji Zdro-

wia Instytutu Kardiologii w Aninie, gdzie zajmowała się edukacją zdrowotną i promocją zdrowia. Tam m.in. pod koniec lat dziewięćdziesiątych stworzyła pionierski program Promocji Zdrowia i Prewencji Chorób Układu Krążenia „Zdrowie dla Pragi”. W Forum Dialogu Społecznego reprezentowała Komisję Dialogu Społecznego ds. Ochrony i Promocji Zdrowia, której przewodniczyła.

Była również ekspertką Ministerstwa Zdrowia w ramach Międzynarodowej Kampanii Antytytoniowej „HELP”. Była też prezeską Stowarzyszenia „Zdrowie i My”, którego była współzałożycielką. Pełniła funkcję wiceprzewodniczącej Obywatelskiej Koalicji „Tytoń albo zdrowie”, która zrzesza organizacje pozarządowe z całego kraju, pracujące na rzecz prewencji tytoniowej. Koalicja ta należy do Europejskiej Sieci Prewencji Tytoniowej. Wspólnie z profesorem Witoldem Zatońskim reprezentowała w tej Sieci Polskę. W ramach wspólnych inicjatyw krajów unijnych brała udział w międzynarodowych badaniach dotyczących szkodliwości biernego palenia w miejscach publicznych.

Udzielała się aktywnie w Towarzystwie Przyjaźni Polska-Izrael. Jest autorką wielu artykułów naukowych i publicystycznych, w tym poświęconych masonerii. W Internecie, na YouTube, można odnaleźć szereg publicznych wypowiedzi Małgorzaty Misiuny na temat masonerii kobiecej, jej historii, zadań i specyfiki.



Małgorzata Misiuna

Od początku istnienia Wielkiego Wschodu Polski dyskutowano nad kwestią przyjmowania kobiet do wolnomularstwa. Przychylny kobietom był m. in. Zbigniew Gertych (1922-2008), Wielki Mistrz w latach 2002-2004. Jednak dopiero obradujący w listopadzie 2008 Konwent WWP (obradujący corocznie najwyższy organ obediencji, w którym uczestniczą wolnomularze w stopniu mistrza), podjął decyzję dopuszczającą inicjację kobiet i tym samym zmienił charakter tej obediencji z męskiej na mieszaną. Trzeba jednak zaznaczyć, iż to, czy dana loża postanowi zostać mieszaną, czy pozostać czysto męską, zależy tylko od jej decyzji. Przed rokiem 2008 Siostry mogły brać udział w pracach łóż WWP w charakterze gości.

Pierwsze kobiety zostały afiliowane w loży „Wolność Przywrócona”. Należały one wcześniej do toruńskiej loży DH „Pod Ulem”. W owym czasie obediencja DH przechodziła pewne zawirowania organizacyjne. Nastąpiło to na przełomie 2008 i 2009 roku. Z czasem z członków i członkiń wcześniej należących do łóż DH powstały mieszane loże WWP „Galileusz” w Bydgoszczy, „Cezary Leżeński” w Warszawie czy „Moria” w Rydze (Łotwa).

Mieszany charakter mają również polskie loże wchodzące w skład Wielkiego Wschodu Francji, a są to obecnie: Loża „Nadzieja” w Warszawie; Loża „Gabriel Narutowicz” w Krakowie (ta pierwszą kobietę inicjowała w listopadzie 2017), Loża „Gwiazda Morza” w Gdańsku, Loża „Braterstwo nad Olzą” w Cieszynie; Loża „Kamień nad Łyną” w Olsztynie; Loża „Recontre Fraternelle” w Warszawie (francuskojęzyczna); jak również loże wchodzące w skład Wielkiej Loży Kultur i Duchowości (założonej w 2003 we Francji), a są to: „Ul” w Toruniu, „Erasmus Roterodamus” w Ustroniu i „Jan Henryk Dąbrowski” w Warszawie.

Jedyną polską obediencją zachowującą męski charakter jest Wielka Loża Naro-

dowa Polski; choć nie znaczy to, iż Bracia z tej obediencji są przeciwnikami kobiet. Jest wręcz odwrotnie, współpracują na wielu polach z Siostrami (choćby w „Instytucie Sztuka Królewska w Polsce”), a jedynie wyłącznie w rytualnych pracach łóżowych są wierni pierwotnej masonskiej tradycji, która legła u podstaw ruchu wolnomularskiego w XVIII w Anglii; zgodnie z którą, jak mówi rozdział III Konstytucji z 1723, zwanej Konstytucją Andersona:

„Osoby dopuszczone do członkostwa Łoży muszą być dobrymi i prawymi ludźmi, wolno urodzonymi, rozsądnymi i w dojrzałym wieku; nie mogą być niewolnikami ani też kobietami, ludźmi niemoralnymi lub skandalicznego prowadzenia się – przeciwnie, cieszyć się dobrą sławą” (cyt. Za: Tadeusz Cegielski, *Księga Konstytucji 1723 roku i początki wolnomularstwa spekulatywnego w Anglii. Geneza-Fundamenty-Komentarze*, Warszawa 2011, s. 403). □

Wykorzystano m. in.: Ludwik Hass *Wolnomularze polscy w kraju i na świecie 1821-1999: słownik biograficzny*, Warszawa 1999; Mirosława Dołęgowska-Wysocka, *Suknia i fartuszek. Z dziejów wolnomularstwa kobiecego w Polsce od XVIII do XXI w.*, Warszawa 2020, e-book 2021, oraz *Masonka*, Lydney 2023; *Niosła światło. Wspomnienia o Małgorzacie Rejnhard – Misiunie*, Warszawa 2021; *Kobiety w Wielkim Wschodzie*, „Wolnomularz Polski” nr 73/2017/2018, s. 9; Magdalena Długosz, *Masonka z Lublina*, „Wolnomularz Polski” nr 74/2018, s.11; Urszula Jabłońska, *O Wandzie co wcielala ideały braterstwa*, „Przekrój” wrzesień 2022; https://przekroj.pl/spoleczenstwo/o-wandzie-co-wcielala-idealy-braterstwa-urszulajablonska?fbclid=IwAR1a1SA5RcbQsINM_rAOT0J_DxS737hpy9TnNvNvY1yJvncoc-tJtJ9EcSkq;Kazimierz Tokarski, O Wandzie Dynowskiej-Umadevi <http://krishnamurti.republika.pl/rozne.dynowska.bio.htm>, oraz informacje zawarte na stronie <https://wolnomularstwo.pl/>; <https://masonskiemuzeum.pl/>; Kultura Polska wobec zachodniej filozofii ezoterycznej w latach 1890-1939 <http://www.tradycjaezoteryczna.ug.edu.pl/node/1> i uzyskane od Waldemara Gniadka, Mirosławy Dołęgowskiej-Wysockiej oraz Dariusza Misiuny.

WIERSZOPISARSKIE JUWENILIA ANDRZEJA NOWICKIEGO

Profesor Andrzej Nowicki (1919-2011) pamiętany jest przede wszystkim jako filozof i religioznawca – światowej rangi znawca włoskiej filozofii epoki Odrodzenia (a zwłaszcza myśli Giordana Bruna i Giulia Cesarego Vaniniego), twórca własnego oryginalnego systemu „ergantropijno-in-kontrolologicznej filozofii kultury”, wybitny i zasłużony działacz oraz teoretyk polskiego ruchu laickiego i wolnomysłcielskiego, a także – dużo później – wolnomularz¹. Mało jest wszakże znany fakt, iż we wczesnej młodości próbował sił także w pisaniu wierszy. Nie odniósł na tym polu żadnych sukcesów. Dość szybko zorientował się, że to nie poezjowanie winno być głównym przedmiotem jego własnej aktywności pisarskiej; swoich nieporadnych literackich juveniliów nigdy nie eksponował, a nawet niechętnie je przypominał, ale też nigdy się od nich nie odcinał. Nie będzie więc chyba sprzeniewierzeniem się pamięci uczzonego przypomnienie tych jego zapoznanych pisarskich początków.

„Poezjowanie” przyszłego filozofa rozpoczęło się w czasie okupacji hitlerowskiej (prawdopodobnie, sądząc z datowania niektórych wierszy, około schyłku r. 1940) i trwało nadal – osiągając swoje apogeum – w r. 1945; zanikając ostatecznie – jak się zdaje – u schyłku tegoż roku, w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu. Przypomnijmy, iż w czasie wojny młodziutki Nowicki (od r. 1942 członek Związku Walki Zbrojnej) ukończył w r. 1943 na tajnych kompletach podziemnego Uniwersytetu Warszawskiego rozpoczęte jeszcze przed wojną studia wyższe broniąc pisanej pod kierunkiem

prof. Władysława Tatarkiewicza pracy magisterskiej o filozofii Heraklita i do wybuchu powstania warszawskiego był – oczywiście w konspiracji – asystentem znanego polarnika prof. Antoniego Bolesława Dobrowolskiego.

Działal w socjalistycznej grupie „Płomienie”, od r. 1944 był członkiem władz Wydziału Młodzieżowego PPS, oficerem politycznym III kompanii im. Komuny Paryskiej w batalionie OW PPS im. J. Dąbrowskiego, redaktorem miesięcznika „Światło” i członkiem komitetu redakcyjnego miesięcznika „Młodzież Socjalistyczna”. W powstaniu warszawskim kierował pracą kulturalno-oświatową Ekspozytury Starostwa Powstańczego Warszawa-Północ. Po powstaniu znalazł się w Zakopanem (X 1944 – III 1945), gdzie już po wyzwoleniu na krótko zatrudnił się w dziale geologicznym Muzeum Tatrzańskiego. Przez pewien czas związał się następnie z Radomiem, tam (podobnie jak wcześniej w Zakopanem) udzielał się w tamtejszym odrodzonym życiu kulturalnym. Sporadycznie publikował w lokalnych periodykach Radomia „Głos Ziemi Radomskiej” i „Życie Robotnicze”. Od maja do sierpnia 1945 pracował jako sekretarz osobisty premiera Edwarda Osóbki-Morawskiego. W lipcu 1945 wyjechał jako dziennikarz do Poczdamu i prawdopodobnie wtedy definitywnie zaniechał uprawiania wierszopisarstwa, a w każdym razie jego utrwalania w druku.

Krótkotrwały epizod „literacki” Andrzeja Nowickiego owocował edycją opublikowanych własnym nakładem w Radomiu w r. 1945 cieniutkich zbiorów wierszy wydrukowanych w ówczesnych tamtejszych Spółdzielczych Zakładach Graficznych (ul. Żeromskiego 28), a sygnowanych

¹ Zob. sylwetkę Andrzeja Nowickiego zawartą w artykule B. M. Woźniakowskiego w nr 96 „Forum Myśli Wolnej”.



Andrzej Nowicki

nazwiskiem Andrzej Teodorowicz-Nowicki. Noszą one tytuły *Mózgłęta w mózgifigantach!* oraz *Koniec świata*. Dzisiaj oba stanowią swego rodzaju wydawnicze curiosa i są dość trudno dostępne, nawet niektóre bibliografie dorobku profesora nie notują ich istnienia. Nie jest też pewna kolejność ich ukazania się, zapewne jednak wyszły tuż po sobie lub wręcz jednocześnie.

Pierwszy z nich – o wyjątkowo dziwacznym tytule i pełny równie dziwacznych, raczej niefortunnych, często nieczytelnych neologizmów – składa się z 12 wierszy pisanych, jak wynika z ich datowania w Warszawie, Zakopanem i Radomiu od schyłku r. 1944 do kwietnia 1945. Sam autor po bardzo wielu latach, zdawał się przywiązywać pewną programową wagę do tytułowego i zarazem otwierającego książeczkę utworu *Mózgłęta w mózgifigantach!* w którym – jak twierdził – zawarł całe swoje życiowe przesłanie: „program mojej życiowej misji: zrobić wszystko, aby ludzi przekształcić w mózgifiganty, zachęcając do aktywności kulturalnej”². Oto tekst tego osobliwego wiersza:

Słowotem piorunezji odczerpią z wiar
mózgłęta, żeby mogły rosnąć w mózgifiganty,
serca junot oczarem rozgłęb na scud i wżar,
a niedokroplę talentu w genialności rozoceañ
Atlantyck.³

Można chyba domyślać się, że owe „mózgłęta” (niemowlęta umysłowe?) „odczerepione” (wyzwolone?) ze żłudnych „wiar” „słowotem piorunezji” (piorunującym uderzeniem poezji?) winny przekształcić się w „mózgifiganty” (giganty mózgowy, a może także giganty muz?)... Niestety, to raczej mało fortunny rebus, niż faktyczny manifest ideowo-artystyczny. Niewiele lepiej prezentują się (co prawda, nieco mniej „rebusowe”) pozostałe utwory tomiku, rozpięte gdzieś między rozwichrzonym ekspresjonizmem, sztucznym i wysiłonym eksperymentem lingwistycznym a łopatologicznymi rymowankami w stylu barokowego księdza Józefa Baki. Uderza w nich kreacja autorskiego apodyktycznego podmiotu lirycznego w permanentnym konflikcie z zastanym a pogardzanym światem i społeczeństwem, które za wszelką cenę – nawet gwałtem – trzeba zmienić, prze-

² *Rozpoznam cię w snach. Rozmowa z Andrzejem Nowickim [1]*, <http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,7104>

³ A. Teodorowicz-Nowicki, *Mózgłęta w mózgifigantach!*, Radom 1945, s. 3 (wiersz tytułowy datowany: 6.2.1945 r.)

kształcić i wychować przy pomocy słowa poetyckiego. W wierszu *Kapuściany krokiety* czytamy m.in.:

złotym młotkiem poezji z głów
kapuścianych półgłówków-głębów
będę starał się wybić głupotę
i doklepać wam piąte klepki
biedne zlepki
a jeżeli mimo złotych słów Poezji
ziemia będzie ciągle zagonem
pustych kapust
i każdy głęb zostanie głębem,
wtedy
wszystko między nami skończone
po prostu
puszczam ziemię w trąbę⁴

Z kolei w wierszu *Do świata* podmiot liryczny stara się zniechęcić tępy świat „o krowiej gębie” – „odkrowić, odzwierzęcić, odnowić i odnarowić”⁵; a jak wynika z *Pioniera*, twórca – artysta, działający choćby „toporem”, będzie

[...] ludzkość gwałcił
entuzjazmem swoim póki
całej ziemi nie przekształci
w WARSZTAT SZTUKI I NAUKI⁶

Jak wynika z dedykacji wiersza *Pora...!* (napisanego w Radomiu 24.4. 1945) winę za właściwie nieokreślony, ale namiętnie atakowany w tomiku stan rzeczy ponoszą w oczach Nowickiego anachroniczni jego zdaniem pisarze z tygodnika „Odrodzenie”:

Dlaczego po staremu piszecie?
Jak gdyby ciągle trwało wczoraj
Przecież...!
Pora...!

[...]
DO NOWYCH SŁÓW DLA NOWYCH
ZNACZEŃ
TRZEBA MIEĆ DZIŚ WCIAŻ NOWE USTA!⁷

⁴ Tamże, s. 4-5.

⁵ Tamże, s. 6.

⁶ Tamże, s. 10.

⁷ Tamże, s. 16. Sformułowanie o „nowych ustach” najprawdopodobniej jest tylko przypadkowo

Trzeba jednak przyznać, iż oskarżenie rozciągał autor tej osobliwej książeczki poniekąd i na własny skromniutki dorobek w wierszu *Dekret* oświadczając kategorycznie:

Najjaśniejszym dekretem
poetyckiego sumienia
postanawiam w sobie poetę
za tandetę
postawić
w stan oskarżenia

Postanawiam odstawić ody,
w których było za wiele wody,
mody,
zgody,
wygody,
a brak celu, planu, metody⁸.

Drugi tomik Andrzeja Nowickiego (może zresztą ze względu na daty wierszy przygotowany do druku i opublikowany jako pierwszy chronologicznie?) *Koniec świata* zawierał jedynie 9 utworów pisanych w Radomiu i Warszawie między sierpniem 1940 a grudniem 1944, a więc powstałych w całości jeszcze za okupacji. To utwory mocno odmienne (to nie znaczy, że lepsze artystycznie...) od omówionych wyżej, cechujące się znacznie większymi rozmiarami, z pewnymi skłonnościami do wierszowanej epiki, niekiedy kwalifikowane przez autora – niezbyt zgodnie z wymogami literackiej genologii - jako „bajki”.

Pierwszą grupę stanowią tu rozgadane wiersze miłosne poświęcone niewymienionej z imienia ukochanej, a wkrótce i żonie autora (była nią poślubiona w r. 1942 Zenobia Natalia Skrzek), w których dość banalne deklaracje uczuciowe systematycznie przeplatają się z fascynacjami i aluzjami literackimi czy też muzycznymi (padają nazwi-

zbieżne z przedwojennymi koncepcjami poezji awangardowej Tadeusza Peipera; amatorskie próby wierszopisarskie Andrzeja Nowickiego wydają się być nader odległe od wszelkiej awangardy.

⁸ Tamże, s. 15.

ska Horacego, Czechowicza, Brémonda, Duhamela, Słowackiego, Tuwima czy – już z pewnym dystansem – Prousta, motywy gry na skrzypcach, takie terminy muzyczne jak nokturn, scherzo, fermata) – prowadząc do konkluzji, że miłość i sztuka pozwalają na oddzielenie się od „teatralno groteskowo-tragicznego świata”. To takie wiersze, jak – zgrupowane w tomiku koło siebie – *List, Wiersz o roku 1945, Oczy schnące z pragnienia czy Krążąc w pobliżu dworca, czekając na przyjazd żony...*

Druga grupa to teksty kwalifikowane przez piszącego przeważnie jako „bajki”, rozwlekłe wiersze z elementami fabularnymi, mające w intencjach autora zawierać jakieś niezbyt precyzyjne przesłania o charakterze filozoficzno-historiozoficznym. Najobszerniejszy z nich i najbardziej tradycjonalistyczny w formie (21 czterowersowych zwrotek rymowanych abab) *Spór a Atlantyk* w zawły sposób przedstawiał wymaginowany spór dwóch myślicieli greckich z III w. p.n.e. – Seleuka (Seleukosa z Selencji) i Kratesa Delijczyka (Kratesa z Teb?) na temat zagadek Oceanu Atlantycznego i wpływu Księżyca na fale oceaniczne, służący faktycznie zgłębianiu istoty świata.

Tytułowy *Koniec świata* kreślił z kolei spór mitologicznych postaci Oriona i Kasjopei o to, czym jest planeta Ziemia, zakończony – w imię pionierskiego sprawdzającego teorię eksperymentu – jej zagładą i wyniszczeniem ludzkości. Najbardziej kuriozalny wierszyk drugiej części to pacyfistyczna i wyraziście antyreligijna „bajka” pt. *Wojna* napisana (świadomie lub nieświadomie) w komicznej manierze mnemotechnicznych i naszpikowanych zdrobnieniami rymowanek księdza Baki. Przedstawiwszy bezsens wzajemnego wyniszczania się „potworków” odmiennego pochodzenia („od różnych maciorek”), dewastujących w imię Boże „norki” konkurentów, wyraża autor tomiku przekonanie, iż:

Kiedyś jednak jedne i drugie potworki,
choć dzieci różnych maciorek
z tworek
przesną przeciw bić się w mordki,
palić norki
i klepać paciorki⁹

Czy Nowicki nie uświadamiał sobie groteskowości tego typu propozycji artystycznej, czy też przeciwnie – pragnął właśnie poprzez formę dodatkowo ośmieszyć absurdu militarystyczno-religijne? A może u początkującego wierszopisa wchodziły w grę oba czynniki?

W sumie zbiorok *Koniec świata* okazał się bardzo niespójną składanką zupełnie nieprzystających do siebie tekstów, już to sentymentalno-lirycznych, już to „filozoficznie” zadumanych nad mechanizmami rządzącymi światem i człowiekiem, wyraźnym krokiem wstecz do bardziej jednolitego myślowo, choć pełnego dziwactw językowych tomiku *Mózgłęta w mózgianty!*

Po latach Andrzej Nowicki wspominał z humorem, że jego młodzieńcze próby wierszopisarskie wzbudzały nawet pewne zainteresowanie w wygłodzonym kulturalnie tuż powojennym Zakopanem i Radowiu, były deklamowane na miejscowych imprezach artystycznych (m.in. przez Andrzeja Szalawskiego), wzbudziły osobiste zaciekawienie Ireny Solskiej. Został nawet przyjęty do Związku Zawodowego Literatów Polskich (z którego stosunkowo szybko wyleciał „z hukiem” za czasów Jerzego Putramenta)¹⁰. W sumie jednak trudno uznać obie książeczki za jakiegokolwiek osiągnięcie artystyczne – juwenilia literackie przysłego filozofa balansowały niebezpiecznie na granicy grafomanii, a nawet po prostu często tę granicę przekraczały. Dziś są jedynie zakurzonymi antykwarycznymi ciekawostkami, a sam Andrzej Nowicki szybko odnalazł właściwą drogę swego pisarstwa. □

⁹ A. Teodorowicz-Nowicki, *Koniec świata*, Radow 1945, s. 15.

¹⁰ *Rozpoznam cię w snach...jw.*

ZDARZYŁA SIĘ NAM WPADKA

Przewodniczący naszej Rady Programowej, prof. Dr hab. Krzysztof Woźniakowski zwrócił nam uwagę na niedopatrzenie techniczne w trakcie druku artykułu pt.: WYZNANIA RELIGIJNE W POLSCE W LATACH 2019-2021.

Uwagi naszego Przewodniczącego z pokorą przyjmujemy.

Poniżej zamieszczamy tekst listu p. Profesora, co (mamy nadzieję) posłuży jako errata.

Z przykrością stwierdzam, że w ogłoszonej w najnowszym 96 numerze „FMW” mojej recenzji publikacji GUS-owskiej *Wyznania religijne w Polsce w latach 2019-2021* na skutek niedopatrzenia technicznego w zamieszczonym tam na s. 26-30 imiennym wykazie 207 kościołów i związków wyznaniowych w Polsce według stanu na 31 XII 2021 znalazły się **błędy wynikające z pominięcia kursywy w nazwach kilku denominacji rozwiązanych i wykreślonych z rejestru MSWiA**. Tym samym - wbrew danym GUS -za wciąż istniejące zostały takie wyznania, jak (w grupie wyznań protestanckich, s. 28): *Zbór Ewangeliczny Chrześcijan w Dziegielewie, Kościół Chrześcijan Pełnej Ewangelii Jezusa Chrystusa -Zbór ewangeliczny „Nazaret”, Kościół „Maranatha” - Zielonoświątkowy Kościół Przypowieści Salomona, Zbór Ewangeliczny „Jordan” w Gdyni, Biblijny Kościół Boży w Polsce*, (w grupie innych wyznań chrześcijańskich, s. 28): *Kościół Chrześcijan w RP - Zbór Chrześcijan we Wschowie*, (w grupie judaistycznej, s. 29): *Havurah Lelimud Jadahut-Bractwo dla Poznawania Judaizmu, Izraelicka Niezależna Gmina Wyznaniowa w Poznaniu*.

Z szacunkiem
Krzysztof Woźniakowski

Panie Profesorze – za zaniedbanie bardzo przepraszamy!

Redakcja

FRYDERYK NIETZSCHE

ROZPRAWA DRUGA, POŻYTECZNOŚĆ I SZKODLIWOŚĆ HISTORII DLA ŻYCIA

CZEŚĆ II

Lecz dajmy pokój tej słabości. Zwróćmy się raczej do wielce sławionej siły człowieka nowoczesnego z bolesnym bądź co bądź pytaniem, czy ma on prawo dla swej znanej „obiektywności” historycznej zwać się silnym, mianowicie s p r a w i e d l i w y m, i to sprawiedliwym w stopniu wyższym, niż człowiek czasów innych. Czy to prawda, że owa obiektywność ma swe źródło we wzmożonej potrzebie i żądzy sprawiedliwości? Lub czy też budzi ona jako skutek zgoła innych przyczyn właśnie tylko pozór, jakoby sprawiedliwość była właściwą tego skutku przyczyną? Może uwodzi ona do szkodliwego, bo zbyt pochlebnego przesądu co do cnót człowieka nowoczesnego?

Sokrates uważał wyobrażenie, że się posiada cnotę, nie posiadając jej, za cierpienie, bliskie obłędowi: i zaiste wyobrażenie takie jest niebezpieczniejsze, niż przeciwne urojenie cierpienia z powodu błędu, z powodu występu. Bo przy tem urojeniu istnieje może jeszcze możliwość stania się lepszymi; owo wyobrażenie atoli czyni człowieka lub jakiś czas z dnia na dzień gorszym – więc w tym wypadku niesprawiedliwszym.

Zaprawdę, nikt nie ma w stopniu wyższym prawa do naszego szacunku, niż ten, kto posiada popęd i siłę do sprawiedliwości. Bo w niej jednoczą się i kryją najwyższe i najrzadsze cnoty, jak w niezgłębionym morzu, które z wszystkich stron przyjmuje i pochłania strumienie. Ręka sprawiedliwego, mającego prawo sądenia, nie drży już, trzymając wagę; nieublagany dla samego siebie, kładzie on ciężar po ciężarze, oko jego

nie mąci się, gdy szale wznoszą się i opadają, a głos jego nie jest ani twardy ani złamany, gdy obwieszcza wyrok.

Gdyby był zimnym demonem poznania, to rozpościerałby wokół siebie lodową atmosferę nadludzko strasznego majestatu, którego musielibyśmy się bać, a nie czcić go. Lecz że jest człowiekiem i usiłuje wznieść się z opieszalej wątpliwości do pewności surowej, z cierplivej łagodności do imperatywu „musisz”, z rzadkiej cnoty wielkoduszności do przeniejrzadszej cnoty sprawiedliwości, że podobien jest teraz temu demonowi, nie będąc od początku niczym innym, jeno biednym człowiekiem, a przede wszystkim, że każdej chwili sobą samym człowieczeństwo swe odpokutowywać musi i trawi się tragicznie w niemożliwej cnotie – to wszystko stawia go na wyżynie samotnej, jako najczcigodniejszy okaz rodzaju ludzkiego.

Bo pragnie on prawdy, ale nie tylko jako zimnego, niepociągającego skutków za sobą poznania, lecz jako porządkującej i karzącej sędzielki, prawdy nie jako egoistycznego posiadania jednostki, lecz jako świętego uprawnienia do przesuwania wszystkich granicznych kamieni egoistycznych posiadłości; słowem: prawdy jako sądu świata, a wcale nie jako zdobyczy i rozkoszy poszczególnego strzelca.

W tym bezmyślnie gloryfikowanym wszędzie dążeniu do prawdy jest tylko o tyle coś wielkiego, o ile żądny prawdy ma bezwzględną wolę być sprawiedliwym; podczas gdy przed okiem tępszym całe mnóstwo różnorodnych popędów, jak ciekawość, ucieczka przed nudą, niezyczliwość, próżność, popęd do gry – popędy, które nic zgoła z prawdą do

czynienia nie mają – zlewają się z owym dążeniem do prawdy, które ma korzenie w sprawiedliwości.

Świat więc zdaje się wprawdzie być pełen takich, którzy „prawdzie służą”, a jednak cnota sprawiedliwości bywa tak rzadka, jeszcze rzadziej poznana, a prawie zawsze znieawidzona na śmierć: gdy tymczasem gromada cnót pozornych każdego czasu chadzała w czci i świetności.

Prawdzie nieliczni służą naprawdę, bo tylko nieliczni posiadają czystą wolę być sprawiedliwymi, a nawet z tych znowu najnieliczniejsi siłę, by móc być sprawiedliwymi. Nie wystarczy zgoła mieć tylko wolę po temu. A najstraszniejsze cierpienia spłynęły na ludzi z popędu sprawiedliwości bez zdolności sądenia; skutkiem czego pomyślność powszechna nie wymagałaby niczego innego, jeno by ziarno zdolności sądenia rozsiał jak najszerzej, by oddzielić fanatyka od sędzi, ślepą żądzę sądenia od świadomej siły prawa do sądenia.

Lecz gdzież znaleźć sposób szczepienia zdolności sądenia! Skutkiem czego ludzie, gdy im się o prawdzie i sprawiedliwości mówić będzie, wiecznie trwać będą w trwożnej niepewności, czy mówi do nich fanatyk czy sędzia. Należy im przeto wybaczyć, jeśli zawsze z szczególną życzliwością witali owe „sługi prawdy”, którzy nie mają ani woli ani siły sądenia; i stawiają sobie zadanie szukania „czystego, nie pociągającego skutków za sobą” poznania, lub – dokładniej – prawdy, z której nic nie wynika.

Jest dużo prawd obojętnych; są problematy, o których sądzić słusznie nie kosztuje nawet przezwyjęzienia, nie mówiąc już ofiary. W tej obojętnej i niegroźnej dziedzinie udaje się jużci człowiekowi stać się zimnym demonem poznania. A mimo to! Jeśli nawet, w szczególnie sprzyjających czasach całe kohorty uczonych i badaczy zmieniają się w takich demonów – to ciągle niestety pozostanie możliwe, że czasy takie cierpieć będą na brak surowej i wielkiej sprawiedliwości; krótko: na brak najszlachetniejszego rdzenia tak zwanego popędu do prawdy.

Teraz postawmy sobie przed oczy wirtuozę historycznego terażniejszości: jestże on

najsprawiedliwszym mężem swych czasów? Prawda, wykształcił on w sobie taką delikatność i pobudliwość uczucia, że nic ludzkiego nie jest mu zgoła obce. Najrozmaitsze czasy i osoby odpowiadają natychmiast na jego li-rze echem w pokrewnych tonach: stał się on odbijającym echo *passivum*, które swym głosem działa znów na inne tego rodzaju *passiva*.

Aż wreszcie całe powietrze pewnych czasów pełne jest takich dźwięczących w zmieszaniu delikatnych i pokrewnych ech. Jednak zdaje mi się, że słyszy się tylko niejako tony górne każdego oryginalnego, historycznego tonu głównego: tężyzny i potęgi oryginału nie można już odgadnąć z tej sferycznie rozcieńczonej i zaostrożonej gędźby. Za to ton oryginalny budził przeważnie czyny, niedole, grozy, ten nuci do snu i czyni nas miękkimi melomanami; zda się jakby symfonię heroiczną przepisano na dwa flety i przeznaczono ją na użytek marzycielskich pałaczy opium.

Stąd można już zmiarkować, jak u tych wirtuozów będzie się miała rzecz z naczelną pretensją człowieka współczesnego do wyższej i czystszej sprawiedliwości. Cnota ta nie ma w sobie nigdy nic miłego, nie zna zgoła drażniących wzburzeń, jest twarda i straszna. Jak nisko, wedle niej mierząc, stoi już wspaniałość na drabinie cnót; wspaniałość, która jest zaletą kilku i rzadkich historyków!

Ale daleko więcej ich dochodzi tylko do tolerancji, do pozwalania na to, czego już zaprzeczyć nie można, do uładzania i w miarę życzliwego upiększania, w tem mądrym przypuszczeniu, że niedoświadczony wytłumaczy to sobie jako cnotę sprawiedliwości, jeśli opowiada się przeszłość w ogóle bez twardych akcentów i bez wyrazu nienawiści. Lecz tylko siła wyższa może sądzić, słabość musi tolerować, jeśli nie chce siły obłudnie udawać i sprawiedliwość na stolcu sędziowskim aktorką czynić.

Mamy nawet jeszcze jedną straszną *species* /gatunek – red./ historyków, tęgie, srogie, uczciwe charaktery – lecz ciasne głowy. Tu istnieje zarówno dobra wola być sprawiedliwym, jak patos sędziostwa. Lecz wszystkie wyroki są fałszywe; mniej więcej z tego

samego powodu, dla którego fałszywe są wyroki zwykłych kolegów przysięgłych. Jak nieprawdopodobna jest tedy częstość talentu historycznego! Pomijając, tu już zakapturzonych egoistów i stronników, którzy przy fałszywej grze, w którą grają, robią bardzo obiektywną minę.

Tak samo pomijając ludzi nierozważnych, którzy jako historycy piszą w naiwnej wierze, że właśnie ich czasy mają słuszność w wszystkich zapatrywaniach popularnych; i że pisać po myśli tych czasów znaczy tyle, co być w ogóle sprawiedliwym; wiara, w której żyje każda religia i o której, wobec religii, nie można nic więcej powiedzieć. Owi naiwni historycy nazywają „obiektywnością” mierzenie minionych opinii i czynów wedle kosmopolitycznych mniemań chwili. Tu znajdują kanon wszech prawd; pracą ich jest przystosowywanie przeszłości do będących na czasie trywialności. Nazywają natomiast subiektywnym każde dziejopisarstwo, które owych mniemań popularnych nie uważa za kanon.

I czyżby nawet w najwyższe tłumaczenie słowa obiektywność nie wkrađała się iluzja? Rozumie się wówczas przez to słowo stan u historyka, w którym on zdarzenie jakiegoś we wszystkich jego motywach i następstwach tak jasno postrzega, że nic wywiera ono zgoła żadnego wpływu na jego podmiot działania. Ma się na myśli ów fenomen estetyczny, owo wyzwolenie się z interesu osobistego, w którym malarz wśród burzliwego krajobrazu, wśród błyskawic i grzmotów lub na wzburzonym morzu postrzega swój obraz wewnętrzny i przy tym zapomina o swej osobie.

Wymaga się więc także od historyka kontemplacji artystycznej i pełnego zatopienia się w rzeczach. Zabobnem jest to jednak, że obraz, który rzeczy ukazują w nastrojonym w ten sposób człowieku, oddaje empiryczną rzeczy istotę. Lub miałyż-by się rzeczy w owych momentach niejako przez swą własną działalność na czystym *passivum* odrysować, portretować, fotografować?

Byłaby to mitologia i licha do tego: nadto nie należy zapominać, że chwila owa jest właśnie najsilniejszą i najsamodzielniejszą chwi-

łą twórczą we wnętrzu artysty, momentem kompozycyjnym najwyższego rodzaju, którego wynik będzie jużci malowidłem prawdziwym artystycznie, nie zaś malarsko. W ten sposób ciche, obiektywne przemyślanie historii jest cichą pracą dramaturga; to jest szczerzyć wszystko myślą, co odosobnione wiązać w całość: wszędzie z założeniem, że jedność planu włożyć trzeba w rzeczy, jeśli jej tam nie ma.

Tak oprzędza człowiek przeszłość i ujarzmia ją, tak objawia się jego popęd artystyczny, lecz nie jego popęd do prawdy, popęd do sprawiedliwości. Obiektywność i sprawiedliwość nie mają z sobą nic do czynienia. Można by sobie pomyśleć dziejopisarstwo, które nie ma w sobie ani kropli pospolitej prawdy empirycznej, a jednak mogłoby mieć w najwyższym stopniu prawo do orzeczenia obiektywności. Ba, Grillparzer waży się na określenie: „czymże innym jest historia, jeżeli nie sposobem, w jaki duch człowieka przyjmuje nieprzeniknione dlań zdarzenia; wiąże, co Bóg wie, czy do kupy należy; zastępuje, co niezrozumiałe, czymś zrozumiałem; swe pojęcia o celowości na zewnątrz podsuwa całości, która zna tylko celowość na wewnątrz; i znów przypuszcza przypadek, gdzie tysiąc drobnych działało przyczyn. Każdy człowiek ma zarazem swoją konieczność oddzielną, tak że miliony kierunków równoległe w krzywych i prostych liniach biegną obok siebie, krzyżują się, pomagają sobie, hamują się, dążą naprzód i wstecz i przeto przyjmują dla siebie wzajem charakter przypadku i tak, pomijając już działanie zdarzeń przyrodniczych, uniemożliwiają wykazanie zasadniczej, wszystko obejmującej konieczności tego, co się staje”.

Teraz jednak właśnie wynikiem owego „obiektywnego” patrzenia na rzeczy ma być dobytec na światło takiej konieczności! Jest to założenie, które – wypowiedziane przez historyka jako zasada wiary – dziwną może przybrać postać. Schiller zwłaszcza zdaje sobie zupełnie jasno sprawę z iście właściwej subiektywności tego przypuszczenia, gdy powiada o historyku: „jedno zjawisko po drugim zaczyna się wymykać ślepemu przypad-

kowi, pozbawionej praw wolności i podporządkowywać się zgodnej całości – istniejącej oczywiście tylko w jego wyobrażeniu – jako członek przystający”.

Cóż jednak sądzić o wprowadzonym w pełnej wierze, o bujającym sztucznie między tautologią i nonsensem twierdzeniu pewnego sławnego wirtuoza historycznego: „nic innego, tylko że wszelkie ludzkie czynienie i działanie poddane jest cichemu i często uchylającemu się spod uwagi, lecz przemożnemu i niepowstrzymanemu tokowi rzeczy?” W takim zdaniu czuć nie więcej zagadkowej mądrości jak niezagadkowej niemądrości; jak w powiedzeniu goethowskiego ogrodnika dworskiego, „natura da się jużci forsować, ale nie zmuszać”, lub w napisie budy jarmarcznej, o którym Swift opowiada: „tu widzieć można największego na świecie słonia, z wyjątkiem jego samego”.

Bo jakież jest przecie przeciwieństwo między czynieniem i działaniem ludzkim a tokiem rzeczy? W ogóle uważam, że historycy tacy jak ów, z którego zdanie przytaczamy, nie pouczają już, skoro uogólniają i ukazują wtedy poczucie swej słabości w niejasnościach. W naukach innych uogólnienia są najważniejsze, o ile zawierają prawa. Jeśli jednak takie zdania, jak owo przytoczone powyżej, pragną uchodzić za prawa, to można odpowiedzieć, że wówczas praca dziejopisa jest strwoniona. Bo co w ogóle z takich zdań pozostaje prawdziwe po odjęciu owej ciemnej, nierozwiązalnej reszty, o której mówiliśmy – to jest znane a nawet trywialne. Gdyż każdemu w najmniejszym zakresie doświadczenia wpadnie w oczy.

Lecz inkomodować z tego powodu całe narody i obracać na to mozolne lata pracy nie znaczyłyby przecież nic innego, jak w naukach przyrodniczych gromadzić eksperyment do eksperymentu, kiedy z istniejącego skarbu eksperymentów już dawno można wyprowadzić prawo: na który to bezmyślny nadmiar eksperymentowania mają zresztą wedle Zöllnera chorować terazniejsze nauki przyrodnicze. Gdyby wartość jakiegoś dramatu leżeć miała tylko w końcowej i głównej myśli, to sam dramat byłby jak najdal-

szą, nieprostą i mozolną drogą do celu; i tak spodziewam się, że w historii nie wolno widzieć znaczenia swego w myślach ogólnych, jako w pewnego rodzaju kwiecie i owocu; lecz że wartość jej tkwi właśnie w tym, by jakiś znany, może zwykły temat, jakąś melodię codzienną opisać genialnie, podnieść, wzmóc do obszernego symbolu i dać tak wy-czuć w temacie oryginalnym cały świat zadumy, mocy i piękna.

Do tego potrzeba jednak przede wszystkim wielkiej potęgi artystycznej, twórczego unoszenia się nad przedmiotem, miłosnego zatopienia się w danych empirycznych, dosnuwania wątku danych typów – do tego potrzeba w każdym razie obiektywności, lecz jako właściwości pozytywnej. Tak często jednak jest obiektywność tylko frazesem. W miejsce owego wewnątrznie lśniącego, zewnątrznie nieruchomego i ciemnego spokoju oka artysty wchodzi afektacja spokoju; tak jak brak patosu i siły moralnej lubi się maskować ostrym chłodem obserwacji.

W pewnych wypadkach banalność sposobu myślenia, mądrość groszowa, która tylko przez swe nudziarstwo czyni wrażenie czegoś spokojnego, niewzruszonego, ośmiela się wyjrzeć, by uchodzić za ów stan artystyczny, w którym podmiot milczy i staje się całkowicie niespostrzegalny. Wówczas wynajduje się wszystko, co w ogóle nie porusza, a najsuchsze słowo jest właśnie trafne. Ba, dochodzi się tak daleko, iż się przypuszcza, że ten, którego jakiś moment przeszłości zgoła nie obchodzi, powołany jest, by go przedstawić.

W takim często znajdują się stosunku wzajemnym filologowie i Grecy – jedni nie obchodzą zgoła drugich – to zwie się wtedy jużci też „obiektywnością”. Gdzie więc trzeba właśnie przedstawić to, co najwyższe i najrzadsze, tam umyślne i na pokaz wystawiane nie współuczestnictwo, wyszukana, czczo płytka sztuka motywowania są wprost oburzające – jeśli mianowicie do tej obiektywności udającej obojętności prze próżność historyka. Zresztą trzeba wobec takich autorów sąd swój bliżej motywować w myśl zasady, że każdy człowiek ma właśnie tyle próżności, ile mu zbywa na rozumie.

Nie, bądźcie przynajmniej uczciwi! Nie szukajcie pozoru mocy artystycznej, którą rzeczywiście obiektywnością zwać trzeba, nie szukajcie pozoru sprawiedliwości, jeśli nie jesteście uświęceni do strasznego powołania męża sprawiedliwego. Jak gdyby też być musiało każdego czasu zadaniem, być sprawiedliwym względem tego, co kiedyś było! Czasy i pokolenia nie mają nawet nigdy prawa być sędziami wszystkich dawniejszych czasów i pokoleń. Lecz zawsze tylko jednostkom – i to najrzadszym – przypada czasem posłannictwo tak niewygodne. Któż zmusza was do sądenia?

A potem – zbadajcie się tylko, czybyście umieli być sprawiedliwymi, gdybyście nimi być chcieli! Jako sędziowie musielibyście stać wyżej od tego, kto ma być sądzony: podczas gdy przysłiszcie tylko później. Goście, którzy przyszli do stołu ostatni, winni słusznie ostatnie otrzymać miejsca. A wy chcecie mieć pierwsze? Więc czyńcie przynajmniej coś najwyższego i największego. Może wtedy też uczyni się wam rzeczywiście miejsce, choć przysłiszcie ostatni.

Tylko ze stanowiska najwyższej mocy terażniejszości wolno wam przeszłość tłumaczyć. Tylko w najsilniejszym napięciu najszlachetniejszych waszych zalet zgadnicie, co jest w przeszłości godne wiedzy i zachowania i co wielkie. Równe równym! Inaczej ściągacie przeszłość do siebie. Nie wiercie dziejopisarstwu, jeśli nie wyskakuje z głowy duchów najrzadszych. Zawsze jednak zmiarkujecie, jakiej jakości jest ten duch, kiedy są zmuszeni wypowiedzieć coś ogólnego lub powtórzyć coś powszechnie znanego.

Prawdziwy historyk musi móc przekuć coś, co ogólnie znane, na coś nigdy niesłyszanego i głosić to, co ogólne, tak prosto i głęboko, że nie spostrzega się prostoty przy głębi, a głębi przy prostocie. Nikt nie może być równocześnie wielkim historykiem, sztucznym człowiekiem i płaskogłowem. Natomiast nie należy lekceważyć zwozących, wysypujących i przesiewających robotników, że z pewnością nic mogą być wielkimi historykami. Jeszcze mniej należy ich mieszać z owymi, lecz pojmować ich jako potrzebnych czeladników i pomocników w służbie mistrza.

Tak na przykład jak Francuzi z większą naiwnością, niż to u Niemców możliwe, zwykli byli mówić o *historiens de M. Thiers*. Niech robotnicy staną się z czasem wielkimi uczonymi, lecz przez to jeszcze nie mogą być nigdy mistrzami. Wielki uczone i wielki płaskogłów – to łatwiej już chadza społeczeństwem pod jednym kapeluszem.

Więc: historię pisze człowiek doświadczony i wyższy. Kto nic własnego nie przeżył w sposób większy i wyższy, niż inni, nie będzie też umiał wyjaśnić nic wielkiego i wysokiego z przeszłości. Wyrok przeszłości jest zawsze zdaniem wyroczni: tylko jako budowniczości przyszłości, jako mędrzy terażniejszości zrozumiecie je. Tłumaczy się dziś niezwykle głębokie i szerokie działanie Delf szczególnie tym, że kapłani delficy byli dobrymi znawcami przeszłości. Teraz należy wiedzieć, że tylko kto przyszłość buduje, ma prawo sądzić przeszłość.

Przez to, że patrzycie naprzód, że wytyczacie sobie wielki cel, ujarzmiacie równocześnie ów bujny popęd analityczny, który teraz pustoszy wam wszelką terażniejszość i wszelki spokój i uniemożliwia prawie wszelki pokojowy wzrost i dojrzewanie. Załóżcie wokół siebie żywość wielkiej i pojemnej nadziei, ufne go dążenia. Ukształtujcie w sobie obraz, któremu odpowiadać ma przyszłość i zapomnijcie o zabobonie, że jesteście epigonami. Macie dość do wymyślenia i wynalezienia, myśląc o owym życiu przyszłym, lecz nie pytajcie historii, by wam pokazała jak? I czym?

Jeśli natomiast wżycie się w historię wielkich mężów, to nauczycie się z niej najwyższego przykazania, by dojrzeć i uciec od owej paraliżującej klątwy wychowawczej czasu, który swą korzyść widzi w tym, by nie dać wam dojrzeć, by was niedojrzałych opanować i złupić. I jeśli pragniecie biografów, to nie owych z refrenem „Pan Ten i Ten i jego czasy”, lecz owych, których tytuł musiałby opiewać „walczący przeciw swoim czasom”. Syćcie swą duszę Plutarchem i ważcie się wierzyć w siebie samych, wierząc w jego bohaterów. Z setką takich nienowocześnie wychowanych, to znaczący dojrzałych i do bo-

haterstwa przywykłych ludzi, można teraz uciszyć na wieki hałaśliwe, płytkie wykształcenie tegoczesne.

7.

Zmysł historyczny, jeśli rządzi nieposkramiany i wyciąga wszystkie swe konsekwencje, wyplenia przyszłość, ponieważ niszczy iluzje, podbiera rzeczom istniejącym ich atmosferę, w której jedynie żyć mogą. Sprawiedliwość historyczna, nawet jeśli dokonywa się rzeczywiście i w czystym zamiśle, jest przeto cnotą straszną, ponieważ zawsze to, co żyje, podkopuje i do upadku przywodzi: jej sądzenie jest zawsze niszczeniem. Jeśli poza popędem historycznym nie działa popęd budowniczy, jeśli nie burzy się i sprząta, by jakaś już w nadziei żyjąca przyszłość na wolnym miejscu gmach swój budowała, jeśli sprawiedliwość rządzi sama, wówczas popęd twórczy traci siłę i odwagę.

Jakaś religia na przykład, która pod rządą czystej sprawiedliwości zamieniona ma być na wiedzę historyczną, religia, która ma być poznana na wskroś historycznie, zostaje u kresu tej drogi zarazem zniszczona. Powód tkwi w tym, że przy porachunku historycznym wychodzi każdym razem na jaw tyle fałszu, surowości, nieludzkości, absurdu, gwałtu, że pełny pietyzmu nastrój iluzji, w którym wszystko, co żyć chce, jedynie żyć może, rozwiewa się nieodzownie. Tylko w miłości jednak, tylko ocieniony iluzją miłości tworzy człowiek, to jest tylko w bezwarunkowej wierze w doskonałość i słusność.

Każdemu, kogo się zmusza kochać już nie bezwarunkowo, obcina się korzenie mocy; musi on uschnąć, to jest stać się nieuczciwym. W takich działaniach przeciwstawia się historii sztuka: i tylko jeśli historia znosi przekształcanie na dzieło sztuki, więc na czysty twór sztuki, może ona snadź zachowywać instynkty lub nawet je budzić. Takie jednak dziejopisarstwo sprzeciwiałoby się bezwzględnie analitycznemu i nieartystycznemu dążeniu naszych czasów.

Ba, byłoby przez nie odczuwane jako fałszerstwo. Historia jednak, która tylko burzy, nie wiedzona przez wewnętrzny popęd budowniczy, czyni z biegiem czasu narzę-

dzia swoje niewrażliwymi i nienaturalnymi: gdyż ludzie tacy burzą iluzje, a „kto burzy iluzje w sobie i w innych, tego natura karze, jak tyran najsroższy”. Przez długi czas można wprawdzie zajmować się historią zgoła niewinnie i nierozważnie, jakby to było zajęcie równie dobre jak każde inne. Szczególniej, zda się, nowsza teologia jedynie z niewinności zadawała się z historią i teraz jeszcze nie chce zmiarkować, że przez to, prawdopodobnie bardzo wbrew woli, jest na usługach wolterowskiego *écrasez* (pokonajcie – red.). Niech nikt nie przypuszcza pozatem nowych mocnych instynktów budowniczych; chyba trzeba by tak zwane towarzystwo protestanckie uważać za łono matczyne religii i może prawnika Holtendorfa (wydawcę i przedmówcę jeszcze bardziej tak zwanych biblii protestanckich) za Jana nad Jordanem.

Przez pewien czas dymiąca jeszcze w starszych głowach filozofia heglowska może pomagać do propagandy owej niewinności, na przykład tym, że „ideę chrześcijaństwa” odróżnia się od jej rozmaicie niedoskonałych „form zjawiskowych” i gada się sobie, że jest nawet „upodobaniem idei” objawiać się w coraz czystszych formach. W końcu mianowicie jako na pewno przenajczystsza, najprzejrzystsza, ba, ledwo widoczna forma w mózgu teraźniejszego *theologus liberalis vulgaris* (liberalny teolog pospolity – red.).

Jeśli się jednak słyszy te przenajczystsze chrześcijaństwa, wypowiadające się co do nieczystych chrześcijaństw dawniejszych, to bezstronny słuchacz ma często wrażenie, że nie ma zgoła mowy o chrześcijaństwie, jeno o – otóż o czym myśleć mamy? Jeśli znajdujemy określenie chrześcijaństwa przez „największego teologa stulecia” jako religii, która pozwala „wczuć się w wszystkie tylko możliwych religii”; i jeśli „kościółem prawdziwym” ma być ten, który „staje się płynną masą, gdzie nie ma żadnych zarysów, gdzie każda część znajduje się już to tu, już to ówdzie, a wszystko miesza się spokojnie z sobą”. – Raz jeszcze, o czym myśleć mamy?

To, czego na chrześcijaństwie nauczyć się można, że pod działaniem historyzowania stało się niewrażliwym i nienaturalnym, aż w końcu całkowicie historyczne, to jest sprawiedliwe traktowanie roztopiło je na czystą wiedzę o chrześcijaństwie i przez to zniszczyło, to można studiować na wszystkim, co obdarzone jest życiem: że przestaje żyć, jeśli się je do końca zsekcjonuje; i żyje boleśnie i chorobliwie, jeśli się zacznie czynić na nim historyczne ćwiczenia sekcyjne.

Są ludzie, którzy wierzą w rewolucyjną i reformatorską moc leczniczą muzyki niemieckiej wśród Niemców: odczuwają oni z gniewem i uważają za krzywdę, popełnioną na żywotności naszej kultury, jeśli takich ludzi jak Mozart i Beethoven zasypuje się już teraz całym uczonym plugawstwem biograficznym. I zmusza się ich torturowym systemem krytyki historycznej do odpowiedzi na tysiąc natrętnych pytań. Czyż nie odrzuca się lub co najmniej nie paraliżuje niewczesnie tego, co w swych żyjących oddziaływaniach nie zostało jeszcze zgola wyczerpane, przez to, że się żądzę nowości zwraca ku niezliczonym mikrologiom życia i dzieł; i że się szuka problemów poznania tam, gdzie trzeba by się uczyć żyć i zapamiętać o wszystkich problematach?

Przenieście tylko kilku takich biografów w myślach w miejsce urodzenia chrześcijaństwa lub reformacji Lutrowej; ich czcza, pragmatyzująca żądza nowości byłaby właśnie wystarczająca, by wszelką duchową *actio in distans* (działanie na odległość – red.) uniemożliwić: jak najnędrniejsze zwierzę może przeszkodzić powstaniu najpotężniejszego dębu, połykając żołądz.

Wszystko, co żyje, potrzebuje wokół siebie atmosfery, tajemniczej mgławicy, jeśli mu się odbierze tę powłokę, jeśli się jąkaś religię, sztukę, geniusz skaże na krążenie w postaci gwiazdy bez atmosfery, to nie trzeba się już dziwić szybkiemu uschnięciu, stwardnieniu i zjałowieniu. Tak już ma się rzecz z wszystkimi wielkimi rzeczami, „które nie udają się nigdy bez pewnej uludy”, jak mówi Hans Sachs w *Śpiewakach Norymberskich*.

Lecz nawet każdy naród, ba, każdy człowiek, który chce dojrzeć, potrzebuje takiego spowicia w uludzie, takiej ochronnej i osłonnej chmury; teraz jednak nienawidzi się dojrzenia w ogóle, ponieważ czci się historię bardziej niż życie. Ba, tryumfuje się z powodu, że teraz „nauka zaczyna panować nad życiem”. Możliwe, że się to osiągnie; lecz z pewnością opanowane w ten sposób życie nie wiele warte, bo jest daleko mniej życiem i daleko mniej życia poręcza przyszłości, niż życie opanowane niegdyś nie przez wiedzę, lecz przez instynkty i silne urojenia.

Lecz nie ma to być też zgola, jak powiedziano, stulecie gotowych i dojrzałych, harmonijnych osobowości, jeno wspólnej, jak najpożyteczniejszej pracy. To znaczy przecie tylko: ludzi, których trzeba zaprawić do celów czasu, by jak najprędzej przyłożyli też ręki. Mają pracować w fabryce powszechnych użyteczności, zanim dojrzeją, ba, by wcale już nie dojrżeli – gdyż byłby to zbytek, który by „targowi pracy” odjął moc siły. Oślepia się pewne ptaki, by piękniej śpiewały. Nie sądzę, by ludzie obecni śpiewali piękniej, niż ich dziadowie; lecz to wiem, że się ich wcześniej oślepia.

Lecz środkiem, niegodziwym środkiem, którego się używa, by ich oślepić, jest nazbyt jasne, nazbyt nagłe, nazbyt zmienne światło. Młodzieńca przepędza się różgami przez wszystkie stulecia. Młodzieniaszków, którzy nie wiedzą nic o wojnie, o akcji dyplomatycznej, o polityce handlowej, uważa się za godnych wtajemniczenia w dzieje polityczne. Tak jednak, jak młodzieniec przebiega dzieje, przebiegamy my, nowocześni, przez przybytki sztuki, tak słuchamy koncertów.

Czuje się jużci, że to brzmi inaczej, niż tamto, to działa inaczej, niż tamto: otóż tracić coraz bardziej to uczucie zdziwienia, nie zdumiewać się już niczym nadmiernie, wreszcie pozwalać co do siebie na wszystko – to zwie się potem zmysłem historycznym i wykształceniem historycznym. Mówiąc bez upiększenia: nawał napływający jest tak wielki, to, co dziwne, barbarzyńskie i gwałtowne, napiera tak przepotężnie, „zbite w szkaradne gruzły” na duszę młodzień-

czą, że umie się ona uratować tylko umyślną tępotą.

Gdzie w głębi tkwiła subtelniejsza i silniejsza świadomość, zjawia się także inne uczucie: wstręt. Młodzieniec został tedy bez ojczyzny i wątpi o wszystkich obyczajach i pojęciach. Teraz wie: wszelkich czasów było inaczej, nic nie zależy na tym, czym ty jesteś. W smętnym znieczuleniu pozwala przeciągać obok siebie mniemaniu za mniemaniem i pojmuje słowa i nastrój Hölderlina przy czytaniu Laërtiusa Diogenesa o życiu i naukach filozofów greckich: „i tutaj znowu doznałem tego, co mi się nieraz zdarzało, że mianowicie przejściowość i zmienność myśli i systemów ludzkich wydaje mi się prawie tragiczniejsza, niż losy, które się zwykle jedynie rzeczywistymi zowie”.

Nie; takie zalewające, ogłuszające i gwałtowne historiozowanie nie jest z pewnością młodzieży potrzebne, jak to wykazują starzy. Ba, w najwyższym stopniu niebezpieczne, jak to wykazują nowsi. Przypatrzmy się zaś dopiero studentowi historii, dziedzicowi zbyt wczesnego, prawie w chłopięctwie już widocznego zniewrażliwienia. Teraz „metoda” stała mu się własną pracą, przyswoił sobie trafny chwyt i dostojny ton wedle manieri mistrza, jakiś całkowicie wyodrębniony rozdziałik przeszłości padł ofiarą jego bystrości i nabytej metody. Już produkował, ba, używając dumniejszego słowa, „tworzył”, stał się sługą prawdy przez czyn i panem w historycznym okręgu świata.

Jeśli już jako chłopiec był „gotów”, to teraz jest już aż zbyt gotów: trzeba nim tylko potrząsnąć, a mądrość spadnie ci z trzaskiem w podółek; lecz mądrość jest zgniła, a każde jabłko robaczywe. Wiercie mi: jeśli ludzie mają w fabryce naukowej pracować i być pożytecznymi zanim dojrzeją, to wkrótce nauka będzie tak samo zrujnowana, jak zbyt wcześnie w tej fabryce używani robotnicy. Żałuję, że trzeba już posługiwać się żargonem językowym utrzymywaczy niewolników i pracodawców dla określenia takich stosunków, które winno się pojmować jako wolne od użyteczności i dalekie od potrzeby życiowej.

Lecz mimo woli cisną się wyrazy „fabryka, targowisko pracy, oferta, zużytkowanie” – i jak bądź brzmią owe pomocnicze słowa czasowe egoizmu – na usta, jeśli się chce opisać najświeższe pokolenie uczonych. Gruntowna mierność staje się coraz mierniejsza, nauka w ekonomicznym znaczeniu coraz użyteczniejsza. Najnowsi uczeni są właściwie tylko na jednym punkcie mądrzy; w tym oczywiście mądrzejsi, niż wszyscy inni ludzie przeszłości, na wszystkich innych punktach tylko nieskończenie inni – mówiąc ostrożnie – jak wszyscy uczeni starego typu.

Mimo to żądają dla siebie zaszczytów i przywilejów, jak gdyby państwo i opinia publiczna były obowiązane nowe momenty za równie pełne uważać jak stare. Taczkarze zawarli ze sobą umowę i uchwalili, że geniusz jest zbyt cenny – przez to, że każdy taczkarz przestemplowany bywa na geniusza. Prawdopodobnie czasy przyszłe poznają to po ich budowach, że są zwiezione, a nie zbudowane.

Tym, którzy nieznużenie mają na ustach wojenny i ofiarny okrzyk nowoczesny „podział pracy! do szeregu!” trzeba raz jasno i wyraźnie powiedzieć: jeśli chcecie naukę jak najprędzej naprzód posuwać, to zniszczycie ją jak najprędzej; tak jak wam zginie kura, która zmuszacie sztucznie do jak najprędzszego składania jaj. Prawda, nauka w ostatnich dziesięcioleciach posunęła się zdumiewająco szybko naprzód. Lecz spojrzcie też na uczonych, na te wyczerpane kury. Zaiste, nie są to natury „harmonijne”; tylko gdakać umieją bardziej, niż kiedykolwiek, bo częściej jaja znoszą: oczywiście i jaja stają się coraz mniejsze (choć książki coraz grubsze).

Jako ostatni i naturalny rezultat wynika powszechnie ulubione „popularyzowanie” (obok „feminizowania” i „infantyzowania”) nauki, to znaczy osławione przykrwanie surduta wiedzy do ciała „publiczności mieszanej”; by tu raz dla krawieckiej czynności użyć i krawieckiej niemieczczyzny. Goethe widział w tym nadużycie i żądał, by na-

uki działały na świat zewnętrzny tylko przez w y w y ż s z o n ą praktykę.

Starszym pokoleniom uczonych wydało się ponadto takie nadużycie z słusznych powodów trudne i przykre; z równie słusznych powodów przychodzi to nowszym uczonym łatwo, ponieważ sami, pomijając maleńki zakątek wiedzy, są bardzo mieszaną publicznością i noszą w sobie jej potrzeby. Wystarczy im tylko usiąść wygodnie, a uda się im też swój mały zakres studiów otworzyć dla owej mieszanej popularnej żądy nowych potrzeb. Dla tego aktu wygody pretenduje się potem do nazwy „skromnegoniżenia się uczonego do narodu”: podczas gdy w gruncie uczony, o ile nie jest uczonym, tylko motłochem, zstąpił tylko do siebie.

Stwórzcie sobie pojęcie „narodu”: nie możecie o nim nigdy myśleć dość szlachetnie i wzniosie. Gdybyście mieli wysokie o narodzie mniemanie, byłibyście też litościwi dla niego i strzeżlibyście się bardzo podawać mu wasz historyczny kwas azotowy jako trunek życiowy i krzepiący. Lecz wy macie w najostatniejszej głębi niskie o nim mniemanie, bo nie śmiecie mieć zgoła prawdziwej i pewnie ugruntowanej czci dla jego przyszłości i działacie jako praktyczni pesymiści, to znaczy jako ludzie, którymi kieruje przecucie upadku i którzy przeto na cudze, ba, na własne dobro stają się obojętni i niedbali. Byle nas ziemia jeszcze nosiła! A jeśli nas już nosić nie zechce, niechże i tak będzie: – tak czują i żyją istnieniem ironicznym.

8.

Może się zdawać dziwnym, lecz nie sprzecznym w sobie, jeśli stuleciu, które tak głośno i natrętnie zwykło wybuchać najniefrasobliwszym okrzykiem radości na cześć wykształcenia historycznego, przypisuje mimo to pewnego rodzaju świadomość ironiczną, unosząc się ponad tym przecucie, że tu nie należy się radować, obawę, że tu niedługo będzie po całej wesołości poznania historycznego.

Podobną zagadkę w stosunku do poszczególnych osobistości przedstawił nam Goethe, swoją uwagi godną charakterystyką Newtona. Znajduje on w gruncie (lub właściwiej:

na wyżynie) jego istoty „mętne przecucie swej niesłuszności”, niby jako spostrzegany w pewnych chwilach wyraz wyższej, sądzącej świadomości, która osiągnęła pewien ironiczny rzut oka na konieczną, ukrytą w nim naturę.

Tak znajduje się właśnie w największych i najwyżej rozwiniętych ludziach historycznych często aż do ogólnego sceptycyzmu stłumioną świadomość tego, jak wielka jest niedorzeczność i zabobon w wierze, że wychowanie jakiegoś narodu musi być tak przeważnie historyczne, jak jest teraz. Przecież właśnie narody najmocniejsze, a zwłaszcza mocne w czynach, żyły inaczej, wychowywały inaczej swą młodzież. Lecz nam przystoi owa niedorzeczność, ów zabobon – tak brzmi zarzut sceptyczny – nam późno urodzonym, wybladłym, ostatnim latoroślom potężnych i junaczy pokoleń. Nam, na których wskazuje proroctwo Hezjoda, że kiedyś ludzie od razu rodzić się będą siwowłosi, i że Zeus wytępi to pokolenie, skoro tylko znak ten na nim się ukaże.

Wykształcenie historyczne jest też rzeczywiście pewnego rodzaju wrodzoną siwizną włosów, a ci, którzy jej znak od dzieciństwa noszą na sobie, muszą jużci dojść do instynktownej wiary w starość ludzkości. Starości jednak przystoi teraz starcze zajęcie, to jest patrzeć wstecz, porachunek, rozliczanie się, szukanie pociechy w tym, co było, mocą wspomnień; słowem, wykształcenie historyczne. Rodzaj ludzki jest atoli rzeczą twardą i wytrwałą, nie chce, by patrzano na jego kroki – wprzód i wstecz – po tysiącach, ba, nawet nie po setkach tysięcy lat. To znaczy pragnie, by jako na całość nieskończenie mały punkt atomowy – człowiek poszczególny nie patrzył nań wcale.

Cóż znaczy tedy kilka tysiącleci (lub wyrażając się inaczej: przeciąg czasu 34 następujących po sobie, na 60 lat obliczonych żywotów ludzkich), by u początku takiego czasu móc mówić jeszcze o „młodości”, na końcu już o „starości ludzkości”? Nie tkwiź raczej w tej ubezwładniającej wierze w wędnącą już ludzkość nieporozumienie odziedziczonego po średniowieczu, chrześcijańsko teolo-

gicznego wyobrażenia, myśli o bliskim końcu świata, o trwożnie oczekiwanym sądzie?

Czyż owo wyobrażenie zmienia szatę skutkiem wzmożonej historycznej potrzeby sądenia, jakoby czasy nasze, ostatnie z możliwych, były upoważnione same sprawować nad wszelką przeszłością sąd powszechny; którego wiara chrześcijańska nie oczekiwała od człowieka, jeno od „syna człowieczego”? Dawniej było owo rzucane równie ludzkości jak jednostce *memento mori* /pamiętaj o śmierci/ wiecznie dręczącym kolcem i niejako szczytem średniowiecznej wiedzy i sumienia.

Odrzucany mu okrzyk czasów nowszych: *memento vivere* /pamiętaj o życiu/ brzmi, mówiąc otwarcie, jeszcze bardzo trwożnie, nie wychodzi z pełnego gardła i ma prawie coś nieuczciwego. Bo ludzkość siedzi jeszcze mocno na *memento mori* i zdradza to swą uniwersalną potrzebą historyczną. Wiedza, mimo swe najmocniejsze uderzenia skrzydeł, nie mogła się wyrwać na wolność, pozostało głębokie uczucie beznadziejności i przybrało owo zabarwienie historyczne, które zaciemnia teraz smętnie wszelkie wyższe wychowanie i wykształcenie.

Religia, która za najważniejszą z wszech godzin życia człowieczego uważa ostatnią, która przepowiada kres życia ziemskiego w ogóle i skazuje wszystkich żyjących żyć w akcie piątym tragedii, pobudza niewątpliwie najgłębsze i najszlachetniejsze siły, lecz jest wroga wszelkiemu nowemu sądeniu, śmiałemu próbowaniu; swobodnemu pożądaniu; sprzeciwia się wszelkiemu lotowi w nieznanie, gdyż tam nie kocha, nie spodziewa się. Znosi tylko wbrew woli napór tego, co się staje, aby je w swoim czasie odepchnąć i poświęcić, jako pokusę do istnienia, jako kłamstwo o wartości istnienia.

To, co czynili Florentczycy, gdy pod wrażeniem kazań Savonaroli urządzali owe sławne palenia obrazów, rękopisów, zwierciadeł, larw, to samo uczyniłoby chrześcijaństwo z każdą kulturą, która pobudza do dążenia dalej i ma za hasło owo *memento vivere*. I jeśli nie można tego uczynić prostą drogą, bez ogródki, to jest przemocą, to osiąga ono jed-

nak również swój cel, jeśli sprzymierzy się z wykształceniem historycznym. Przeważnie nawet bez tegoż współwiedzy i przemawiając teraz z jej stanowiska odrzuca ze wzruszeniem ramion wszystko, co się staje i rozpościera nad nim uczucie arcypóźności i epi-goństwa; słowem, wrodzonej siwizny.

Cierpkie i zadumanie poważne rozmyślanie o bezwartowości wszystkiego, co się staje, o dojrzałości świata do sądenia, rozcieńczyło się do świadomości sceptycznej, że w każdym razie, jest dobrze wiedzieć wszystko, co się stało, bo jest zbyt późno, by czynić coś lepszego. Tak więc zmysł historyczny czyni swe sługi biernymi i retrospektywnymi; i chory na gorączkę historyczną staje się czynny prawie tylko z powodu momentalnej zapominawczości, właśnie w przerwach owego zmysłu; aby, skoro tylko czynność minęła, swój czyn sekcjonować, przeszkadzać analityczną obserwacją dalszemu jego działaniu i spreparować go wreszcie na „historię”.

W tym znaczeniu żyjemy jeszcze w średniowieczu, historia nasza jest jeszcze zakapturzoną teologią; jak również cześć, z jaką laik nienaukowy traktuje kastę naukową jest wciąż odziedziczoną po klerze. Co dawniej oddawano kościołowi, to dziś, acz skąpiej, oddaje się nauce. Że się jednak oddaje, to sprawił niegdyś kościół, nie zaś dopiero duch nowoczesny, który raczej przy swoich innych zaletach ma, jak wiadomo, coś ze sknery i jest w dostojnej cnotie hojności partaczem.

Może nie spodoba się ta uwaga, może równie mało, jak ów wywód nadmiaru historii ze średniowiecznego *memento mori* i z beznadziejności, którą chrześcijaństwo chowa w sercu w stosunku do wszystkich przyszłych czasów istnienia ziemskiego. Zastąpcież jednak sobie to przeze mnie tylko wątpliwie podane wytłumaczenie tłumaczeniami lepszymi; gdyż źródło wykształcenia historycznego – i jego wewnętrznie na wskroś radykalnej sprzeczności z duchem „czasów nowych”, „świadomości nowoczesnej” – to źródło samo musi się znów poznać historycznie, historię musi się rozwiązać jako problemat historii samej, wiedza musi przeciw sobie samej zwrócić swój kolec – to traja-

kie „musi” jest imperatywem ducha „czasów nowych”, o ile w nich rzeczywiście jest coś nowego, potężnego, obiecującego życie i pierwotnego.

Lub jestże prawdą, że my Niemcy – by nie mieszać do tego ludów romańskich – we wszystkich wyższych sprawach kultury musimy być zawsze tylko „potomstwem”, dlatego że tylko tym być możemy; które to warte zastanowienia zdanie wyrzekł Wilhelm Wackernagel: „My Niemcy jesteśmy narodem potomków, jesteśmy z całą swą wyższą nauką, jesteśmy nawet w swej wierze zawsze tylko następcami starego świata; nawet ci, którzy wrogo usposobieni tego nie chcą, oddychają poza duchem chrześcijaństwa nieprzerwanie nieśmiertelnym duchem wykształcenia staroklasycznego; i gdyby udało się komu z radości życiowej, otaczającej człowieka wewnętrznego, usunąć te dwa pierwiastki, to nie pozostawałoby zbyt wiele, by utrzymać tym jeszcze życie duchowe”.

Nawet jednak gdybyśmy chętnie uspokoić się chcieli tym powołaniem, że jesteśmy potomstwem starożytności, nawet gdybyśmy się zdecydowali brać je z całym naciskiem poważnie i wzniosie i w nacisku tym uznali odznaczającą nas i jedyną wyższość – to mimo to bylibyśmy zmuszeni zapytać: czy ma być wiecznie naszym przeznaczeniem być wychowankami upadającej starożytności?

Któregoś dnia może nam być pozwolone zatknąć swój cel o krok wyżej i dalej, któregoś dnia może przyznamy sobie pochwałę, że ducha kultury Aleksandryjsko-rzymskiej – także i przez naszą historię uniwersalną – stworzyliśmy sobie właśnie w sposób tak owocny i wspaniały, by teraz jako najszlachetniejszą nagrodę śmieć postawić sobie jeszcze potężniejsze zadanie dążenia teraz wstecz, poza ten świat Aleksandryjski i ponadzeń; i śmiałem spojrzeniem szukać swych wzorów w starogreckim praświecie wielkości, naturalności i człowieczości.

Tam jednak znajdziemy też rzeczywistość wykształcenia istotnie niehistorycznego. I mimo to, a raczej dlatego wykształcenia niewymownie bogatego i pełnego życia. Gdybyśmy Niemcy nie byli nawet niczym in-

nym jak potomstwem 0 – moglibyśmy, patrząc na takie wykształcenie, jako na swe będące do przyswojenia dziedzictwo, nie być zgoła niczym większym i dumniejszym, niż właśnie potomstwem.

Przez to powiedzieć chcę tylko to i nic prócz tego, że nawet często boleśnie nastrajająca myśl, że się jest epigonem, może, wysoko pojęta, zapewniać wielkie skutki i bogate w nadzieje pożądaną przyszłości, tak jednostce jak i narodowi. To jest o ile pojmujemy się jako dziedzice i potomstwo klasycznych i zdumiewających potęg i widzimy w tym swą cześć, tudzież zachętę. Więc nie jako zbladłe i zniechęcone późnione dzieci mocnych pokoleń, które wloką drżące od zimna życie jako antykwary i grabarze owych pokoleń.

Takie późnione dzieci oczywiście żyją istnieniem ironicznym: zniszczenie kroczy w ślad ich kulejącego pochodzenia życiowego. Wzdrygają się przed nim, radując się przeszłością, gdyż są żyjącymi pamięciami, a jednak pamięć o nich bez dziedziców jest niedorzecznością. Tak ogarnia ich posępne przecucie, że życie ich jest krzywdą, bo żadne życie przyszłe nie może mu przyznać słuszności.

Gdybyśmy jednak pomyśleli sobie takie późnione dzieci antykwarskie, wymieniające ową ironiczo-bolesną świadomość na bezwstydy; jeśli pomyślimy, jak to przeraźliwym głosem obwieszczają: pokolenie stoi na swej wyżynie, gdyż teraz dopiero posiadało wiedzę o sobie i ujawniło się samemu sobie – tobyśmy mieli widowisko, z którego jako przenośni, odgadnie się zagadkowe znaczenie pewnej bardzo sławnej filozofii dla wykształcenia niemieckiego. □

„NIEWCZESNE ROZWAŻANIA”.

Przełożył Leopold Staff.

Cyfrowa redakcja młodopolskiego wydania Dzieł Fryderyka Nietzschego z zachowaniem paginacji i układu graficznego. Nietzsche Seminarium, Łódź-Wrocław 2009-2010. Redakcja: Jakub Wroński, Tymoteusz Słowiński

OSOBOWOŚĆ

Czy zastanawiamy się czasem nad tym, co to takiego? Nie? No to spróbujmy wspólnie.

Inaczej: kim jestem?

Już to kiedyś powiedziałem: nietrudno odpowiedzieć na to pytanie, gdy się jest kimś.

Problem jednak w tym, jak dojść do tego, żeby być kimś. Naturalnie, gdy ma się na to ochotę i... warunki.

A warunki „działają” *ab ovo*, czyli od poczęcia (jeśli nie wcześniej).

Każdy ma jakichś (!?) rodziców, którzy coś sobą reprezentują. Paleta jest szeroka, od menela po profesora. W dodatku ów rodzic – menel bądź profesor – mniej lub bardziej się wywiązuje z (i przykładą do) wychowywania potomków. Skutkiem tego dziecko nabiera takich lub innych załączników osobowościowych.

Na przykład: ojciec jest porywczy – dziecko będzie nerwowe i również skłonne do gwałtownych zachowań. Matka jest nadopiekuńcza – dziecko nie jest skłonne do pomagania jej w pracach domowych typu sprzątanie czy zmywanie naczyń.

Kształtowanie osobowości człowieka ma swoje pierwociny w usposobieniu rodziców, czyli w charakterze ich obojga. Czasem się to uśrednia, lecz silniejsza osobowość jednego z rodziców może wywrzeć na to większy wpływ. Z całą pewnością jednak na samym początku jest mama; tak czy inaczej przyjmująca „dar” i obowiązek macierzyństwa. Nie zawsze z radością. Zawsze zaś z koszmarnym bólem „rozwiązania”. A potem z codziennym trudem i zabiegami pielęgnacyjnymi oraz nieprzespanymi nocami.

Od tego, jak matka, przygotowana do tego lepiej lub gorzej, zdolna bardziej lub mniej do dźwigania tych obowiązków fizycznie (noszenie na rękę, gdy dziecko płacze) i psychicznie (także odpornością

wo), potrafi sprostać zadaniom macierzyństwa, zależy w głównej mierze usposobienie dziecka, kształtujące się w danych okolicznościach.

Innym czynnikiem wpływającym na kształtowanie się osobowości dziecka jest niewątpliwie atmosfera domowa. Tak więc na pytanie „kim jesteś” w pierwszym rzędzie powinniśmy chyba odpowiadać podając imiona swoich rodziców: „jestem dzieckiem Agnieszki i Łukasza”. Dla znającego daną rodzinę będzie to jakaś wskazówka, czego może się spodziewać po Jasiu i Marysi. Choć niekoniecznie – jako że niemało dzieci kontestuje zachowania swoich rodziców.

Inaczej też przebiegają procesy wpływające na kształtowanie się osobowości dziecka w rodzinach wielodzietnych, a inaczej w przypadkach jedynaków/jedynaczek. W wielodzietnych wytwarza się zwykle pewnego rodzaju samoregulacja, że starsze dzieci po trosze wyręczają rodziców w opiece nad młodszymi, a przez to wywierają na nie swój wpływ. Choć nieraz dochodzi tam do rywalizacji oraz innych zjawisk, także negatywnych (np. przemocowego typu), gdy „książę” lub „księżniczka” – dotąd jedynak/jedynaczka i oczko w głowie – zostaje zdetronizowany/zdetronizowana przez młodszego dziecko, z konieczności skupiające na sobie całą uwagę i uczucia, i wykorzystuje swoją przewagę fizyczną czy umysłową.

Może to sprawić – i nieraz powoduje – trwające skazy na osobowości dziecka. Jednego i drugiego. Niechęć, a niekiedy nawet wrogość.

Czy wobec tego często odpowiadamy na pytanie „kim jesteś”, że „jestem bratem/siostrą Jana czy Marii”? Albo też częściej chcemy się odróżnić? □

JK

O HUMANIZMIE PRZEZ PRYZMAT IDEI LUDWIKA ZAMENHOFA I PAULA KURTZA

„Humanitaryzm wymaga, aby wszystko to [języki, wyznania, miłość do ojczyzny] było jedynie sprawą prywatną człowieka i aby nie było narzucane innym [...], im więcej ludzi przedłoży swoje etniczne ideały ideałom ogólnoludzkim, tym szybciej wykuje się zgodna ludzkość”.

Taką ideę głosił Ludwik Zamenhof (1859 – 1917) na początku XX wieku. Możemy uznać ją za ponadepokową, bo współczesne rzesze humanistów wciąż cenią te wartości. Wśród nich można wymienić Paula Kurtza (1925 -2012), amerykańskiego filozofa, świeckiego racjonalistę. Uznaje, że warto porównać dwa dokumenty tych myślicieli. W roku 1917 Ludwik Zamenhof ogłosił swoją Deklarację Humanitaryzmu i uzasadnił, że: to idea „którą nosili w swoich sercach ludzie różnych epok, krajów i grup etnicznych”. Dla nas współczesnych przełomowym może być „Manifest neohumanistyczny” Paula Kurtza z roku 2010 zawierający deklaratywnie świeckie reguły i wartości.

Co poza stworzonym językiem esperanto było ważne dla Zamenhofa?

Walter Żelazny, lingwista i esperantysta, w książce: „Ludwik Zamenhof. Życie i dzieło. Recepcja i reminiscencje”, szczegółowo dokumentuje tłumacząc z języka rosyjskiego i esperanckiego mniej znane oblicze przywołanego myśliciela i wskazuje na prekursorskie potraktowanie nauk humanistycznych, które zawierają się w trzech polach: etniczności, narodowości kulturowej i wielokulturowości. Zamenhof jako reprezentant żydowskiej mniejszości znał swoje miejsce w szeregu, ale doświadczając w sposób szczególny upokorzeń uznał, że może dać ludzkości narzędzia służące naprawie tych niesprawiedliwości.

Elementem, który motywował Zamenhofa – jak można się domyślać – było jego pochodzenie i pełna świadomość egzystowania w okowach dominujących nacji, religii i kultur. Pierwszą ideą była koncepcja scalenia swoich żydowskich braci jednym uniwersalnym językiem, który zawarł w dziele „Lingvo Internacia” (Język międzynarodowy) podpisując się jako Doktor Esperanto – co oznaczało „osobę, która ma nadzieję”. Stąd przyjęła się później nazwa – esperanto dla tego sztucznego, pomocniczego języka dla ludzkości.

Następnie zamierzał łączyć ludzi pod szyldem neutralnej etyki. Ten pomysł zawarł w koncepcji „hilelizmu” ale nie znalazł dla niej zwolenników nawet wśród esperantystów. W ostatnim okresie życia doszedł do wniosku, że sens „wyzwolenia”, musi dotyczyć całej ludzkości. Tylko tak można zmieniać dolę mniejszości i dochodzić do sprawiedliwego świata – pisał. Ostatnie życiowe dzieło Zamenhofa kryło się pod nazwą „homaranizm”. Spróbuję teraz możliwie krótko przedstawić tę ideę. Wcześniej spójrzmy jednak, co się kryje pod bliskoznacznymi sobie określeniami – humanizm, humanitaryzm.

Humanizm czy humanitaryzm?

Warto dookreślić znaczenie słów, którymi się posłużymy, tj. **humanizm i humanitaryzm**. Poza różnicami etymologicznymi ważne jest, że oba słowa odnoszą się



Ludwik Zamenhof

do zjawisk wartościujących, a więc mających etyczne podłoże. Z konieczności wybiorę dwie krótko ujęte definicje. Pierwsza za Jerzym Drewnowskim, historykiem nauki i filozofem, druga za Janem Wolańskim – filozofem, historykiem idei.

Humanizm to postawa etyczna odpowiadająca na pytanie: kim jest człowiek, jakie desygnaty szczegółowe wyróżniają osobnika, że nazywamy go człowiekiem. **Humanitaryzm** natomiast odpowiada na pytanie: jak w przestrzeni społecznej nieść drugiemu pomoc? Mówiąc inaczej, postawa pierwsza charakteryzuje się dbałością o własny umysł i etos, druga zaś koncentruje na potrzebach i zagrożeniach innych istot. Bliskość znaczeniowa obu wyrażzeń świadczy o tym, że są komplementarne. (To za: Jerzym Drewnowski, w książce *O humanizmie i dwudzielnym pniu humanitaryzmu*).

Inna zwięzła definicja, tym razem za Janem Woleńskim, brzmi: „Humanizm jako program polega na czynieniu świata przyjaznym człowiekowi. Świat jest przyjazny, jeśli jest tolerancyjny, jeśli umożliwia wystar-

czający stopień wolności [...] nie wyklucza nadziei na pomoc innym w nieszczęściu”. Jak widzimy, tu idee humanizmu i humanitaryzmu splatają się. Humanizm zawsze związany jest z elementami wartościującymi, bo opowiada się za: „wolnością, tolerancją, wagą codziennych przyjemności życiowych, autonomią wartości ludzkich i rozważaniem spraw człowieka niezależnie od teologii” – stwierdza Jan Woleński w tekście *Humanizm i racjonalizm*.

„Humanitaryzm” (*Homaranizm*) – ważne dzieło Zamenhofa

Co kryje się pod nazwą *homaranizm*? To dzieło w wersji najpełniejszej pochodzi z roku 1917, ale ukazało się drukiem dopiero w 1991 roku w Japonii w języku esperanto i nosiło tytuł właśnie *Homaranizm* od esperanckiego słowa *homaro* (członek ludzkiej rodziny). Walter Żelazny używa tego słowa w swoim tłumaczeniu właśnie jako *humanitaryzm*.

Zamenhof, który zmarł w 1917 roku, właśnie u schyłku życia analizował najpełniej, co jest sprawiedliwe w kwestiach narodowych, etnicznych i językowych. W tekście pojawiają się odniesienia do takich pojęć jak **państwo, patriotyzm, grupa etniczna, naród**. Ale też często używane są w jego wielu tekstach przymiotniki: **neutralny, uniwersalny**. Pierwsza wersja *Humanitaryzmu* z roku 1906 ukazuje się najpierw anonimowo, później już publicznie na II Światowym Kongresie Esperantystów w Genewie w formie dwunastopunktowej *Deklaracji Humanitaryzmu*.

Oto jak przedstawia ją Zamenhof: *Humanitaryzm to dążność do czystego człowieczeństwa i do absolutnej sprawiedliwości i równości międzyetnicznej. [...] Humanitaryzm to nauka, która nie wykorzystując człowieka z jego ojczyzny, z języka, z jego wyznania, pozwala mu pokonać wszelkie sprzeczności swego narodo-religijnego podłoża i komunikować się z ludźmi wszelkich języków i wyznań na*

neutralnie ludzkim fundamencie, na zasadach wzajemnego braterstwa, równości i sprawiedliwości.

Dalej do szerszego omówienia wybiorę ostatnią wersję *Humanitaryzmu*.

Jakie wartości etyczne przywołuje Zamenhof w swoich ostatnich ideach?

Ostatni tekst *Deklaracji Humanitarystycznej* z 1917 roku zawiera dziesięć zasad, które mają służyć do wypracowania ostatecznej wersji. Do owych zasad autor dołącza istotne objaśnienia.

We wstępie stwierdza, że jest to jego własny program polityczno-społeczny nie odnoszący się do innych esperantystów, ale nie jest czymś nowym, „*zwykłym wymysłem*”, bo ten zbiór zasad „*w podobnym duchu od dawna nosili i noszą w swoich sercach ludzie różnych epok, krajów i grup etnicznych*”.

Dalej postuluje: „*musimy przez wzajemną zgodę [...] nadać im charakter wspólnego przedsięwzięcia w taki sposób, by owe zasady nie były abstraktami, lecz stały się niezniszczalną normą, naturalną (a dla wolnomyślicieli nawet oficjalną i trwającą z pokolenia na pokolenie postawą) więzią między ludźmi, którzy je wyznają*”.

– „*Nie należy mylić humanitaryzmu z kosmopolityzmem; nie należy równie błędnie myśleć, że walcząc przeciwko tak konfliktowej różnorodności etnicznej ludzkości humanitaryzm pragnie pogrzebać istniejące języki i wyznania. Tak jak przyzwoity patriotyzm inspirował obywatela do jedności i braterskości [...], tak też humanitarysta nie wymaga od swoich zwolenników, by porzucili swoją miłość do ojczyzny [...], miłość do własnej, na swój sposób rozumianej wiary*”.

W kolejnych zasadach brzmiących dekalogowo stwierdza:

1. Ludzkość uważaj za jedną rodzinę.
2. Przewycięzaj wszelkie szykany, uciski wyłącznie zabiegami pokojowymi.

3. Oceniaj ludzi nie według pochodzenia, lecz według ich czynów.
4. Nie narzucaj innym swojego języka ani religii.
5. Kraj niech należy nie do jednego narodu, lecz do wszystkich jego mieszkańców.
6. Nazwa „człowiek” niech stoi u ciebie przed nazwą „naród”.
7. Patriotyzm niech będzie jedynie służbą regionalnym wspólnotom ludzi, nigdy niech nie będzie nienawiścią do innych.
8. W kontaktach z ludźmi świata używaj języka międzynarodowego.
9. Twoja wiara religijna niech będzie nie dziedziczona, lecz prawdziwa. Z ludźmi innej wiary postępuj zgodnie z neutralnie ludzką etyką.
10. Ze wszystkimi ludźmi kultywuj uczucia jednoczące, nie rozdzielające.

Te skrótowo ujęte zasady w pełnym tekście zawierają częste zwroty o neutralnej religii, neutralnym języku, neutralnej etyce a w odniesieniu do idei – uniwersalność, czyli powszechność występowania ich w każdym miejscu na świecie. Na pierwszy rzut oka te określenia są bardzo niejasne. Sam Zamenhof jednak nam je przybliżył: „*...ludzie różnych narodów będą zbierać się i dyskutować na neutralnym fundamencie, tym bardziej będą chcieli się porozumiewać i tym bardziej poczują, że wszyscy mają takie same serca, umysły, ideały, cierpienia i bóle, i że każda narodowa waśń jest pozostałością barbarzyńskiej epoki*”.

A więc wszelkie zagadnienia rozstrzygane winny być drogą intelektualnych dysput, wypracowywane w konsensusie, bez narzucania dominujących poglądów. Ten głos przypomina nam wprost współczesne demokratyczne zasady, które służą budowaniu naszej cywilizacji. Analizując nawet ten skrót „dekalogowy” bez wątplenia można uznać Ludwika Zamenhofa za humanistę swojego czasu. Podczas jego pogrzebu w 1917 roku padło określenie, że był on

„mędrce świata”. Według mnie w znacznej mierze jest ono prawdziwe.

Czas na przedstawienie drugiej strony medalu – współczesnej wersji humanizmu.

Idee XXI wieku zawarte w humanizmie „planetarnym” Paula Kurtza

W naszym stuleciu ukazała się szósta wersja manifestu/deklaracji humanistycznej autorstwa Paula Kurtza. Pierwsza miała podtytuł *O nowy globalny humanizm* (2000 rok), ostatnia zaś: *Manifest neohumanistyczny świeckich reguł i wartości: indywidualnych, prorozwojowych i ogólnoswiatowych* (2010 rok). Podobnie jak w przypadku Zamenhofa (z *Humanitaryzmem* w wersji ostatniej), tu posłużę się wersją najbliższą naszym czasom.

Oto wstęp do preambuły *Manifestu Neohumanistycznego*: „*Nasza planeta doświadcza poważnych problemów, które mogą zostać rozwiązane jedynie dzięki globalnej współpracy. Potrzebne jest świeże myślenie. Ludzkość musi zrekonstruować swoje wartości w świetle wiedzy naukowej. Wprowadzamy termin >>neohumanizm<< żeby zaprezentować nowe, odważne podejście*”.

Mamy tu krótką diagnozę, a dalej, w rozwinięciu – szesnaście rekomendacji. W nich znajdujemy punkty szczególnie ukierunkowane na wartości, oraz zasady etyczne dotyczące jednostki i życia wspólnotowego. Wiele wyjaśnia nam wstęp: „*Na świecie istnieją różnorodne religie i niereligijne wierzenia. Na jednym końcu tego spektrum mamy tradycyjne wierzenia religijne, na drugim >>nowy ateizm<<. Zbyt mało uwagi przykładają się do humanizmu jako alternatywy. Ten manifest forsuje niereligijny, świecki humanizm*”. Jak widzimy, ta Deklaracja to propozycja „trzeciej drogi”.

Obszerność tego tekstu nie pozwala nam go zacytować w całości, przywołam więc tylko elementy, które odnoszą się do sfery wartości. W punkcie szóstym czyta-



Paul Kurtz

my, że poglądy neohumanistów wyrastają z ludzkiego doświadczenia i mogą być poddawane krytyce. To najistotniejszy walor tej koncepcji. Wyraźnie pokazuje jej nieideologiczność.

Na mądrość etyczną ludzkości składają się według Paula Kurtza następujące powinności: 1) **każdy powinien móc żyć pełnią życia i czuć się, szczęśliwy**, 2) **każdy ma prawo do kreatywnego rozwijania siebie i swoich zdolności uwzględniając również dążenia innych**, 3) **najlepszą satysfakcję z życia osiąga się, gdy rzeczywistość zewnętrzna na równi z wewnętrznymi potrzebami i pragnieniami dostarcza właściwie pojmowanego przeżycia i emocji nazywanych dobrym życiem**.

Poza indywidualnymi dążeniami neohumanisci pragną też uwzględniać wartości łączące ludzi, czyli wspólnotowe. Ważne jest: 1) **współczucie – umiejętność kochania i przyjmowania miłości innych**, 2) **uwzględnianie różnych ludzkich potrzeb w dziedzinie życia seksualnego i uznanie równości kobiet w zdominowanym świecie mężczyzn**, 3) **wspieranie rozwoju moralnego na bazie altruizmu i empatii**, 4) **odpowiednie wspieranie dzieci w ich wszechstronnym rozwoju – w duchu miłości bliskich i członków całej społeczności ludzkiej**.

Istotna dla naszych rozważań jest jeszcze ostatnia, szesnasta rekomendacja omawianego „planetarnego manifestu”, która

brzmi: „...*ludzkość powinna porzucić egocentryczny indywidualizm i szowinistyczny nacjonalizm. Społeczność naszej planety powinna tworzyć nowe instytucje międzynarodowe [...] celem tych instytucji ma być krzewienie wartości humanistycznych i umożliwienie wszystkim ludziom widzenia dobrego życia poprzez technologie naukowe i wiedzę. Po raz pierwszy w historii ludzkości możemy unieść się ponad narodowości, etniczność, rasę, religie, bariery kulturowe pochodzące z przeszłości. Etyka planetarnego humanizmu w jasny sposób pokazuje, że każdy człowiek jest cenny i że musi rozwijać empatyczne relacje oraz zachęcać wszystkich do okazywania dobrej woli*”.

Dla mnie szczególnie dwa elementy stanowią o wartości tego manifestu. Pierwszy to otwarcie na krytykę, możliwość weryfikowania koncepcji wobec zmieniających się realiów. Dla humanistów świeckich żadne stwierdzenia nie mają zamkniętej postaci, nie mają rangi dogmatu. Drugi element to słowa o upodmiotowieniu „całej społeczności ludzkiej”. Nie ma tu mowy o wykluczeniu kogokolwiek – z czym mamy do czynienia niemal w każdej religijnej koncepcji.

*

Wobec cytatów pochodzących z naszych czasów nietrudno zauważyć, że blisko sto lat wcześniej to samo głosił „prosty” okulista i lingwista Ludwik Zamenhof w swoim *Homaranizmie (Humanitaryzmie)*, i że to jest jego bezcenny wkład w humanistyczną myśl ludzkości. Próba tworzenia „prawdziwej religii bazującej na czystym idealizmie i moralności” (hilelizmu) nie powiodła się. Do dziś aktualne wśród współczesnych humanistów pozostają natomiast idee człowieczeństwa, sprawiedliwości i równości, które głosił w ostatnim swoim dziele.

Na koniec pozwolę sobie jeszcze na cytat, który jest bliski mojej postawie. Punkt trzeci manifestu „planetarnego” brzmi: „*neohumanisci definiują się głównie przez*

to za czym są, a nie przez to, czemu się sprzeciwiają. Dążą do bycia afirmatywnymi. Mogą pragnąć krytycznie badać twierdzenia stawiane przez religie, jednak skupiają się na swoim konstruktywnym wkładzie, nie na obalaniu. Zwracają się ku nowym możliwościom a nie krytycyzmowi”.

Cenię sobie to ostatnie stwierdzenie, bo jest ono *credo* również mojej postawy jako świeckiego humanisty. Obok stosowania tej reguły w swojej publicystyce, konsekwentnie staram się ją także uprawiać w codziennym życiu. □

Literatura

Dr Esperanto, Język międzynarodowy – przedmowa i podręcznik kompletny, Związek Esperantystów, Warszawa 1887 (reprint 1984); *Esperanto? Wypowiedzi polskich intelektualistów*, red. W. Włodarczyk, Polski Związek Esperantystów, Warszawa 1964; Kurtz P., *Nowe oświecenie*, tłum. A. Dominiczak, B. Stanosz (www.humanizm.net.pl/kurtz78.htm, 07.11.2021); Kurtz P., *Manifest humanistyczny* (www.racjonalista.pl, 05.08.2005); Kurtz P., *Manifest neohumanistyczny*, tłum. A. Modzelewska (www.racjonalista.pl, 04.11.2010); *Ludwik Zamenhof wobec kwestii żydowskiej. Wybór źródeł*, red. A. Jagodzińska, Kraków-Budapeszt, wyd. Austeria 2012; Dobrzyński R., *Zamenhof w Warszawie*, wyd. BOK, Białystok 2019; Drewnowski J., *O humanizmie i dwudzielnym pniu humanitaryzmu*, (www.racjonalista.pl, 17.02.2013); Romaniuk Z., *Zamenhof w Białymstoku*, red. zbiorowa, Wydział Historyczno-Socjologiczny Uniwersytetu w Białymstoku, Białystok 2011; Ziółkowska M., *Doktor Esperanto*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1959; Żelazny W., *Ludwik Zamenhof. Życie i dzieło. Recepcja i reminiscencje*, Zakład Wydawniczy >> NOMOS <<, Kraków 2012; Żelazny W., *O Zamenhofie i esperancie inaczej. Dla tych, którzy nie mają o tym zielonego pojęcia lub mają tylko zielone*, wyd. BOK, Białystok 2022.

U ŹRÓDEŁ RELIGIOZNAWSTWA NA UNIwersYTECIE Jagiellońskim

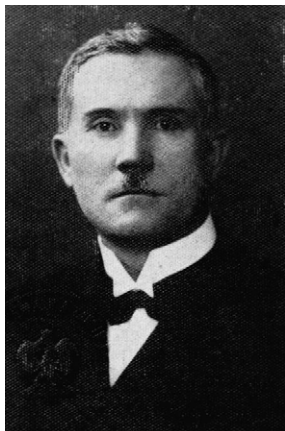
Jest taki instytut na UJ, który się mieni Instytutem Religioznawstwa. Jak on się dzisiaj prezentuje – w sensie dorobku naukowego jego pracowników, widocznego w przytoczeniach – łatwo sprawdzić, bo wszystko jest w Sieci. Ja zaś chcę teraz przypomnieć – może trochę wbrew Nietzschemu, który radził patrzeć w przód, a nie oglądać się na cienie przeszłości – naszego wybitnego religioznawcę, Ryszarda Gansińca, którego darzyli szacunkiem niemieccy koryfeusze filologii klasycznej. Dowodem tego jest między innymi powierzenie temu Słazakowi opracowania ponad 40 haseł dotyczących religioznawstwa.

Mowa o religioznawstwie *par excellence*, prezentowanym także w Realencyclopädie der Classischen Altertumswissenschaft, znanej też pod nazwami skróconymi Realencyclopädie Pauly-Wissowa – wielotomowej niemieckiej encyklopedii obejmującej swoim zasięgiem całość wiedzy o starożytności klasycznej. Razem z suplementami składa się na nią ponad sto tomów. W 1917 r. Ryszard Gansiniec uzyskał doktorat u Ulricha von Wilamowitza-Moellendorffa z zakresu religioznawstwa na podstawie pracy *De Agathodaemone* /dobry duch natury, patron żniw i wina – JK/.

To właśnie artykuły prof. Gansińca, filologa klasycznego o zacięciu religioznawczym, skłoniły mnie – młodego adepta religioznawstwa po studiach filologii klasycznej – do tego, by wieść dalej własne studia oraz popularyzować inicjowane przez Niego badania religioznawcze. Rzecz ciekawa, że (jak napisał R. Turasiewicz) prof. Gansiniec już w r. 1922 postawił tezę o racjonalności magii oraz religii. W pracy *Czynnik racjonalny w wierze i obrzędzie* („Lud” 1922) przeciwstawił się popularnemu wówczas psy-

chologizmowi, a w kontrowersyjnym i „stymulującym intelektualnie”, jak napisał powołany wyżej autor jego biogramu, stwierdził, iż „zabobon i magia, jak cała zresztą religia, są czynnościami racjonalnymi, podobnie jak inne praktyczne działania człowieka”.

Niestety prof. Gansiniec nie podjął jednak tego wyzwania, jakim była propozycja – złożona mu po wojnie przez rektora UJ – stworzenia na tym Uniwersytecie katedry religioznawstwa.



Prof. Ryszard Gansiniec

Dopiero 18 lat po śmierci tego wybitnego religioznawcy polskiego ziścił się ten pomysł. Dzięki sprzyjającej koniunkturze politycznej – w latach 1972-1974 – stworzyliśmy w Instytucie Filozofii UJ Podyplomowe Studium Filozoficzno-Religioznawcze oraz Instytut Religioznawstwa. To drugie dla zapewnienia naukowych podstaw działalności dydaktycznej w zakresie religioznawstwa. Chodziło nam

bowiem – po pierwsze – o zapewnienie nauczycielom szkół średnich kwalifikacji do poruszania w ramach lekcji problematyki światopoglądowej i etycznej, a – po drugie – o stworzenie zaplecza naukowego dla tego rodzaju dydaktyki w postaci wykwalifikowanej kadry.

I się udało. W Instytucie Religioznawstwa powołaliśmy zakłady: Historii i Teorii Religii, Filozofii Religii, Psychologii Religii oraz Socjologii Religii. Oczywiście nie jednej – „jedyniej i słusznej” – religii, jak to przeważnie było na uczelniach wyznaniowych, lecz, jak to się pisało przed zmianą pisowni, „religij” (l. mn.), czyli religijności w sumie. □

Wykorzystałem biogram prof. Gansińca, sporządzony przez Romualda Turasiewicza:
https://ruj.uj.edu.pl/xmlui/bitstream/handle/item/265254/turasiewicz_ryszard_gansiniec_1888-1958_2000.pdf?sequence=1&isAllowed=y

SŁAWOMIR TABKOWSKI

KATYŃSKA TRAUMA

Rozpoczynamy druk reminiscencji doktora Sławomira Tabkowskiego, przygotowanych specjalnie dla naszej redakcji. Każdy z odcinków obejmuje wybraną problematykę, bądź okres aktywności autora. Aktualny tekst dotyczy czasu, gdy był redaktorem naczelnym „Gazety Krakowskiej” i kierownikiem Wydziału Polityki Informacyjnej KC PZPR. A opowieść ta zaczyna się od wspomnień z lat dzieciństwa Autora i sięga po czas przełomu.

Będąc jeszcze dzieckiem o zbrodni katyńskiej dowiedziałem się z propagandowej, niemieckiej ulotki wydanej w czasie trwania wojny, przechowywanej gdzieś przez ojca. Później znalazłem, jak to bywa w tym wieku szperacza, na strychu domu dziadków kilka egzemplarzy „Gońca Krakowskiego” – gadzinówki wydawanej w Generalnej Guberni – z zamieszczonymi na wzór nekrologów listami zamordowanych w Katyniu. Był jeszcze w tamtych czasach obszerny artykuł, chyba w „Trybunie Ludu” albo „Gazecie Krakowskiej”, o tym, że sprawcami tego mordu byli Niemcy, co ojciec nazwał sowieckim kłamstwem. Zapewne chodziło o wyniki prac „Specjalnej komisji ds. ustalenia i przeprowadzenia śledztwa okoliczności rozstrzelania w lesie katyńskim polskich jeńców wojennych przez niemiecko-faszystowskich najeźdźców”, kierowanej przez akademika Nikołaja Burdenko.

Przyjmowałem zdanie ojca i dziwiłem się, że Chruszczow w swoim słynnym referacie o „Kulcie jednostki” na XX Zjeździe KPZR w 1956 roku nic nie wspomniał o Katyniu, gdyż była to wyjątkowo dobra okazja, aby zakończyć wreszcie to kłamstwo trwające przez dziesięciolecia.

W 1962 r. jako lektor z ZW ZMS znalazłem się w Charsznicy (miejscowość w powiecie miechowskim) na zebraniu z okazji obchodzonej dwudziestej rocznicy powstania PPR i od jednego z uczestników

dostałem pytanie: Kto mordował w Katyniu? Odpowiedziałem, że są dwie wersje: jedna, że Niemcy, druga, że to była decyzja władz radzieckich, co można sobie wyobrazić w okresie stalinizmu. Wcale nie byłem wtedy takim wielkim dyplomata, po prostu tylko nie chciałem, w myśl moich przekonań, kłamać.

Dużo później, bo w latach siedemdziesiątych zwróciłem uwagę na powtarzające się informacje o odbywających się uroczystościach upamiętniających ofiary zbrodni nazistowskich w Chatyniu, miejscowości na Białorusi. Bardzo ta nazwa bliska była Katyniowi, a dla obcokrajowców chyba nawet zbieżna. Okazało się, że tak samo jak Norman Davies (Por. Wikipedia) uznałem to za ciąg dalszy trwającego przez lata radzieckiego matactwa.

Jedyną chyba informację, opublikowaną w czasach PRL o prawdziwych sprawcach z Katynia, zawierało wydanie książki Romana Bratnego „Kolumbowie rocznik 20” (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1957), pisanej jeszcze w czasach stalinowskich. Cytuję: „...nie wiem, czy wystarczy tego zwału trupów poległych z sowieckiej ręki” (s. 100).

Ale sprawcy zbrodni katyńskiej, przez całe dziesięciolecia ukrywani z wiadomych powodów, byli powszechnie znani Polakom. Stąd zadziwił mnie znany krakowski działacz partyjny, po transformacji liczący się biznesmen, który twierdził, że nic o ra-

dzieckiej, katyńskiej zbrodni nie wiedział, bo gdyby to znał, to nie byłby w PZPR.

Kto chciał, to wiedział, ale okazuje się, że niekoniecznie wielu chciało, bądź w ogóle mogło to sobie wyobrazić. Uczestniczyłem w rozmowie pracowników aparatu partyjnego średniego szczebla, którzy z niedowierzaniem przyjmowali cytowane przeze mnie słowa Mołotowa z 1939 roku o Polsce jako bękarce układu wersalskiego.

W dniach 11–14 października 1987 roku przebywaliśmy z moim zastępcą red. Edwardem Wąsikiem w delegacji służbowej na Węgrzech i Słowacji. Właśnie z Budapesztu wieczorem dzwonił do nocnej redakcji „Gazety Krakowskiej” ze standardowym pytaniem: Co słyhać? Co idzie? Dyżurujący Władek Penar opisał jutrzejszą „Gazetę”, w której znalazła się wiadomość PAP z uroczystości w Katyniu. Zapytałem: „Jak i gdzie to dajesz?”, a po uzyskanej odpowiedzi powiedziałem: „Władku, wyeksponuj to, jak tylko możesz na pierwszej kolumnie, bardzo cię proszę”.

I tak ukazała się informacja: „Wczoraj w ZSRR złożono kwiaty w Lenino, Smoleńsku i Katyniu. Delegacja Ambasady PRL w Moskwie złożyła jak co roku wieńce na grobach żołnierzy polskich i radzieckich poległych w bitwie pod Lenino. Także wieńiec na grobach oficerów polskich na cmentarzu w Katyniu”. Wtedy nie mogliśmy nic więcej zrobić, bowiem tyle tylko o prawdzie Katynia można było pisać. Lukrowany obraz Kraju Rad i bezkonfliktowe stosunki z ZSRR, także na łamach „Gazety”, stanowiły swego rodzaju obowiązujący serwitut w ówczesnym układzie międzynarodowym tej części Europy Środkowo-Wschodniej.

Nadzieja na ujawnienie katyńskiej prawdy odrodziła się wraz z pieriestrojką i głośnością Michaiła Gorbaczowa. Rozpoczęte 11 stycznia 1988 roku w Wydziale Propagandy KC PZPR przygotowania do jego wizyty w Polsce, oraz wcześniejsze powołanie polsko-radzieckiej komisji do zbadania tzw. białych plam, nie tylko my wiązałyśmy z nadzieją na ujawnienie sprawców

tego mordu. W moim przekonaniu pobyt Gorbaczowa w Polsce (11–16 lipca 1988 r.) mógł być wyjątkową okazją, także dla strony radzieckiej, do powiedzenia prawdy po latach kłamstw.

Nikt dziś nie chce pamiętać ani przypominać, z jakim powszechnym zainteresowaniem, życzliwością, a nawet serdecznością witano Gorbaczowa wszędzie gdzie się pojawił. Towarzyszyłem z racji służbowych obowiązków jego pobytowi w Polsce przez cały czas. Widziałem w Szczecińskim plażowiczów pozdrawiających kolumnę wiozącą delegację, w Poroninie nieklamany entuzjazm górali, tłumy na Rynku Głównym w Krakowie. Właśnie tam pewna pani zawołała, abym podszedł do barier odgradzających część Rynku i wręczyła mi książkę Gorbaczowa *Przebudowa i nowe myślenie. Dla naszego kraju i dla całego świata* (PIW, Warszawa 1988), z prośbą o autograf autora.

To udało się bez większych kłopotów, ale potem był poważny problem z odnalezieniem właścicielki książki. Dzięki ogłoszeniu w „GK” odnalazła się. Ciekaw jestem, czy ma ją do dziś?

Wizyta niestety nie przyniosła przełomu. Pomimo aktywnego oczekiwania Wojciecha Jaruzelskiego i pytań, które padły podczas spotkania z przedstawicielami środowisk polskiej nauki i kultury na Zamku Królewskim w Warszawie, Gorbaczow nie zdecydował się powiedzieć prawdy. Strona radziecka polskich oczekiwań w sprawie Katynia i terminu ich przedstawienia nie rozeznała, zlekceważyła je, bądź – jak się później okazało – nie była wtedy przygotowana do publicznego ujawnienia decydentów i sprawców tego czynu.

Uznanie sprawczej roli ZSRR w zbrodni katyńskiej szło nadzwyczaj opornie, gdyż nawet w grudniu 1988 roku opracowane przez sektor polski Wydziału Zagranicznego KC KPZR memorandum w sprawie Katynia, po podpisaniu przez czołowych ówczesnych radzieckich reformatorów, ale przy *votum separatum* przewodniczącego KGB, utknęło w szufladach (por. M. Ro-

guski, *Tajemna współpraca*, Interstar, Warszawa 1993, s. 79). Do czasu wizyty prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego w Moskwie w kwietniu 1990 roku.

Należało, pomimo ówczesnego milczenia Gorbaczowa, z determinacją uświadamiać stronie radzieckiej, że tego nie odpuścimy. Jednym z takich poczynań była moja propozycja oficjalnego i demonstracyjnego wyjazdu do Katynia. Liczyłem z moim ówczesnym szefem, akceptującym ten pomysł, sekretarzem KC Mieczysławem Rakowskim, że będzie to kolejny sygnał naszego dążenia do ostatecznego wskazania rzeczywistych sprawców. W Katyniu byłem pod wieczór 4 sierpnia 1988 roku, zapaliliśmy przywiezione ze sobą znicze i położyliśmy wiązanki kwiatów. Towarzyszyli nam partyjni dostojnicy ze Smoleńska. Byłem tam, poza delegacjami ambasady polskiej w Moskwie, które od pewnego czasu składały tu wieńce w Dzień Wojska Polskiego (tzn. 12 października), pierwszym tej rangi funkcjonariuszem PZPR. Przykląkłem przed pomnikiem pomordowanych, którzy polegli tu z innej ręki i w innym czasie, niż głoszący wtedy napis. Składałem ten hołd pamięci również spoczywającemu krewnemu mojej Mamy porucznikowi Waleremu Szwabowiczowi.

Wątek katyński powrócił 10 listopada 1988 roku, kiedy to, z upoważnienia Wojciecha Jaruzelskiego, w rozmowie z *attaché* prasowym ambasady ZSRR w Warszawie Koriepanowem, ostro zaprotestowałem przeciw oświadczeniu rzecznika Ministerstwa Kultury ZSRR twierdzącego, że datą zbrodni katyńskiej był rok 1943, a jej sprawcami mieli być niemieccy faszyci. Bardzo charakterystycznym i wiele mówiącym był fakt, że ja, w imieniu Jaruzelskiego, wygłaszałem ten protest, a nie Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Mnożenie różnego rodzaju form nacisku na stronę radziecką, a jednocześnie przekazywanie społeczeństwu intencji kierownictwa partii w sprawie katyńskiej było naturalną domeną działań informacyjnych. Od pewnego czasu miał miejsce niesforma-

lizowany zwyczaj telefonicznych wywiadów, które udzielałem Sekcji Polskiej BBC, nadawanych później na antenie tej stacji. W okresie mojej pracy w KC takich telefonicznych wywiadów na różne tematy było wiele. Do anegdoty należała sytuacja, gdy moja sekretarka w następujący sposób awizowała po raz pierwszy taką rozmowę: Towarzysz Smolar z Londynu do towarzysza kierownika.

Kolejny raz zadzwonił szef Sekcji Polskiej Eugeniusz Smolar z prośbą o komentarz w sprawie katyńskiej, która nie zaistniała w czasie wizyty Gorbaczowa. Pod koniec rozmowy padło pytanie: Kto, według pana doktora [tak mnie tytułował] był sprawcą w Katyniu? Odpowiedziałem, że uważam tak samo jak cały naród. A więc kto? – dopytywał. NKWD – odpowiedziałem. Na następny dzień można to było przeczytać w specjalnym biuletynie nasłuchów obcych radiostacji, rozsyłanym do ośrodków decyzyjnych nie tylko w Warszawie, ale i w całym kraju... Nikt z moich ówczesnych przełożonych nie zareagował negatywnie na tę wypowiedź. Także na podobną wygłoszoną przez ówczesnego Rzecznika Rządu Jerzego Urbana.

Miała ona jednak swój nieprzewidywalny ciąg dalszy. Po raz pierwszy od czasu moich licznych „interwju” dla tej rozgłośni otrzymałem po jakimś okresie list z firmowym nadrukiem Sekcji Polskiej BBC na kopercie, zaadresowany na KC i z informacją, że za tę wypowiedź chcą wypłacić honorarium czterdziestu kilku funtów szterlingów i proszą o podanie konta.

Sytuacja stawała się wyjątkowo wredna, abstrahując już od świństwa, które ktoś celowo, i nie bardzo wiadomo po co, wymyślił w Londynie. Trudno sobie wyobrazić, aby nie tylko właściwe służby MSW nie zainteresowały się zawartością takiej właśnie przesyłki. Sądziłem, że teraz czekają na mój ruch, a to był przysłowiowy gorący ziemniak, który należało jak najszybciej odrzucić.

Mój ówczesny szef M. Rakowski już w tym czasie był premierem, a więc udałem

się do Ernesta Kuczy – kierownika Wydziału Międzynarodowego KC, z którym kilkakrotnie w różnych sprawach rozumieliśmy się bez słów. Zapytał: Chyba nie weźmiesz tych pieniędzy? Odpowiedziałem pytaniem: Gdzie masz kosz na śmieci?

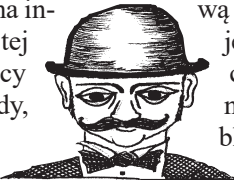
Ale jeszcze później, bo 1 lutego 1989 roku, po mojej kolejnej wypowiedzi dla BBC, stwierdzono w komentarzu: „Ze słów Sławomira Tabkowskiego, kierownika Wydziału Propagandy KC PZPR, wynikałoby zatem, że władze jednak poczekają na oficjalne stanowisko radzieckie, i co więcej, przewidują najwyraźniej, że władze radzieckie bliskie są przyznania się do odpowiedzialności za Katyń”.

W tym samym czasie wsparłem decyzję o druku przez Wydawnictwo MON reprintu trzytomowego dzieła Melchiora Wańkowicza „Bitwa o Monte Cassino” bez ingerencji cenzorskich (chodziło o zawarte w treści informacje dotyczące konferencji jałtańskiej i Katynia). Po donosie prezesa Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Wydawnictw, czyli cenzury, do mojego przełożonego, skutecznie tłumaczyłem Stanisławowi Cioskowi, że nie można ingerować w reprinty, a Polacy nie z tej książki, w nakładzie dwóch tysięcy egzemplarzy, dowiedzą się prawdy, bowiem już od dawna ją znają.

Nie zajmowałem już wtedy żadnych stanowisk, ale jednak otrzymałem następujące zaproszenie: „Ladies and Gentlemen! Dotychczas mogliście nas słuchać – teraz możecie nas spotkać! Wystawa z okazji 50 lat sekcji polskiej BBC 26 września – 9 października 1989, Galeria Dziekanka, Krakowskie Przedmieście 56”. Przywitał mnie i po wystawie oprowadził właśnie Eugeniusz Smolar, którego wtedy osobiście poznałem, ku zdziwieniu obecnych tam licznych gości z ówczesnych starych i nowych sfer rządowych.

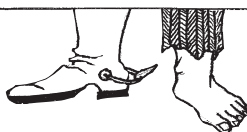
Ponownie odnalazłem się w podobnej niejako materii już w III RP pracując w prywatnej firmie wydawniczej. Wydrukowaliśmy na nasz koszt, bo inni nie mieli bądź nie chcieli dać na to środków, barwną wkładkę z dokumentacją do raportu z niedawnych badań przeprowadzonych przez prof. Romana Mądro, pt. „Zestawienie obrażeń postrzałowych stwierdzonych w obrębie czaszek wydobytych podczas ekshumacji w Charkowie i w Miednoje koło Tweru latem 1991 r.”.

Te wspomnienia związane ze sprawą katyńską, z racji jej wagi i mojego związku z nią przez prawie całe dorosłe życie, uznałem za najważniejsze i pierwsze do publikacji na tych łamach. □



NIECIERPLIWOŚĆ

- Pewien podporucznik zgłosił się na audycję do Napoleona Bonaparte.
- Czego chcesz? – zapytał cesarz.
 - Wasza Wysokość – odparł oficer. – Już cztery lata jestem podporucznikiem i nie mogę się doczekać awansu.
 - No i cóż – rzekł Napoleon. – Ja byłem podporucznikiem sześć lat, a jednak zrobiłem karierę.



MAŁGORZATA MARKIEWICZ

WPŁYW NAUCZYCIELI MATEMATYKI NA EFEKTY NAUCZANIA

Przez ponad 30 lat bycia nauczycielem – co roku rozpoczynając pracę z uczniami gimnazjum i liceum, na pierwszych wspólnych lekcjach zadawałam dwa pytania:

1. Czy lubisz matematykę?
2. Czy lubiłaś/lubiłeś swojego nauczyciela matematyki?

Przez ten długi czas trwania mojej aktywności zawodowej zmieniały się systemy edukacji, zalecenia, metody i formy pracy, programy, podręczniki, przepisy prawa oświatowego, ścieżki awansu zawodowego - w zasadzie zmianie ulegało wszystko, co może mieć wpływ na pracę nauczycieli. A jednak efekty moich prywatnych „badań” opartych na dwóch pytaniach były i są niezmiennie.

Zbieżność odpowiedzi na oba pytania jest wciąż ogromna. Absolutna, prawie stu-procentowa większość moich uczniów deklarująca, że lubi matematykę – lubiła jednocześnie dotychczasowego nauczyciela matematyki. Natomiast „nielubienie” matematyki, negatywny stosunek do przedmiotu wiązał się prawie zawsze z „nielubieniem”, nie najlepszymi wspomnieniami nauczyciela tego przedmiotu.

Nauczyciel matematyki, chyba jak żaden inny nauczyciel, może mieć wpływ na stosunek uczniów do przedmiotu. Bez względu na warunki pracy, na wszystkie czynniki zewnętrzne (w matematyce nazywamy je warunkami brzegowymi, koniecznymi i wystarczającymi) odpowiedzi uczniów na te dwa proste pytania były niezmiennie, bardzo mocno wskazujące na nie-

zwykłą zależność postrzegania przedmiotu przez pryzmat osoby uczącej.

Matematyką łatwo ucznia przestraszyć

Każdy nauczyciel łatwo może przekonać ucznia, że matematyka jest trudna, że to taka dziedzina dla wybranych, a dla zwykłego śmiertelnika pozostanie magią lub utrapieniem.

Dlaczego?

W przeciwieństwie do innych zajęć edukacyjnych – matematyki niezwykle trudno się nauczyć czytając podręcznik i zapamiętując, co bardzo ogranicza możliwość samodzielnego przyswojenia wiedzy. Wśród nauczycieli matematyki krąży powiedzenie, że uczenie się matematyki to proces o charakterze organoleptycznym.

Może nie wymaga stosowania zmysłu węchu czy smaku, ale absolutnie nie da się nauczyć matematyki bez użycia długopisu i papieru lub kredy i tablicy lub innych środków umożliwiających ujęcie własnej wiedzy, umiejętności i pomysłów w ciąg zapisu, dzięki któremu możliwe jest rozwiązanie zadania lub przeprowadzenie do wodu.

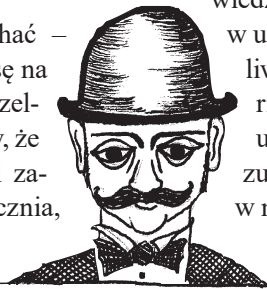
Prowadzi to do wniosku, że nauczanie matematyki odbiega od sposobu uczenia innych dziedzin wiedzy. Nie polega bowiem na czytaniu i zapamiętywaniu, lecz na rozwiązywaniu zadań. Nauczyciel może tym przestraszyć, ale może też przedstawić pozytywne strony sytuacji. Matematyka to jedyny przedmiot szkolny, który nie wymaga nauki pamięciowej.

Warto przypominać uczniom, że to przedmiot, którego nie trzeba „zakuwać”. Nie wymaga przyswajania ogromu faktów i dat oraz ich zapamiętywania. Matematykę wystarczy zrozumieć, a później wszystko okazuje się proste i przyjemne. Tym właśnie wyróżnia się rola nauczyciela matematyki od kolegów po fachu: matematykę trzeba wytłumaczyć, nie można zadać do przeczytania i zapamiętania.

A żeby uczniowie chcieli słuchać – należy ich przekonać, że mają szansę na sukces. Dlatego trzeba stosować wszelkie sposoby na przekonanie uczniów, że matematyka jest łatwa. Nauczyciel zawsze ma możliwość przekonania ucznia,

że przedmiot jest trudny a uczeń słaby, ale to najlepsza droga do porażki. A w mojej opinii porażka ucznia jest zawsze porażką nauczyciela.

Wpływ nauczyciela matematyki na wyniki kształcenia może leżeć także w sferze emocji. Doświadczenie w pracy nauczyciela prowadzi do wniosku, że niezwykle często jedna pochwała, nawet za drobny przejaw wiedzy lub umiejętności, buduje w uczniu wiarę w siebie i w możliwości poradzenia sobie z materiałem. Życzliwe podejście nauczyciela, cierpliwość i wyrozumiałość to droga do sukcesu w nauczaniu matematyki. □



SANEK DOJŁ?

KWESTIA GUSTU

Jeden z przyjaciół Gioacchino Rossiniego, znanego kompozytora operowego, zapytał go, dlaczego tak rzadko widuje się z Giacomo Meyerbeerem, słynnym niemieckim kompozytorem.

- Nie możemy się nigdy zgodzić – odparł Rossini.

- A to czemu? Czyż jego muzyka nie zasługuje na uznanie?

- Zasługuje, bez wątpienia. Jestem jej szczerym entuzjastą.

- A może on nie lubi twojej?

- Przeciwnie, niejednokrotnie zachwycał się *Wilhelmem Tellem* i *Semiramidą*.

- Jakż więc powód?

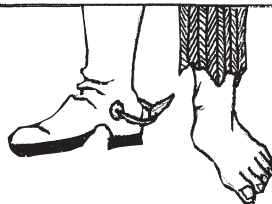
- On utrzymuje, że kapusta niemiecka jest równie dobra jak makaron włoski.

CEL

Kiedy Napoleon I był dopiero porucznikiem artylerii, rzekł raz do niego cudzoziemski oficer z nutą zarozumiałości:

- Moi ziomkowie walczą tylko dla sławy, podczas gdy Francuzi biją się dla pieniędzy.

- Ma pan słuszność – odparł Napoleon z uśmiechem – każdy walczy o to, czego mu brak.



DANUTA STOLAREK

KOBIETY RUSI KIJOWSKIEJ I MOSKIEWSKIEJ

Zachowało się o nich bardzo mało informacji. Często trudno odróżnić, kto był postacią realną, a kto mitem literackim lub po prostu postacią wymyśloną, funkcjonującą tylko w pieśniach ludowych. Z okresu kształtowania się Rusi stosunkowo najwięcej wiemy o Oldze, głównie dlatego, że sprawowała władzę jako regentka przy małoletnim synu. Później jej sfabularyzowaną, ale i hagiograficzną w XVI wieku biografię pozostawiła cerkiew.

O innych wiemy co nieco, gdy wywoływały skandal albo zostawały świętymi. Takim przykładem jest Jarosławna – bohaterka eposu „Słowo o wyprawie Igora”, i choć była postacią realnie istniejącą, wiele osób uważa ją za wytwór poetyckiej fantazji. Autor eposu poświęcił jej zaledwie 40 wersów, a stworzył wiekopomny wizerunek-symbole.

Prawdziwa Eufrosynia Jarosławna żyła na początku XII wieku, była żoną księcia Igora Światosławicza Nowgorod-Siewierskiego, córką księcia halickiego bogatego i potężnego Jarosława Władimirowicza i Olgi, córki Jurija Dołgorukiego (założyciela Moskwy). Jarosławna pochodziła z Rurykowiczów, zatem miała skandynawskie korzenie. Jeśli wierzyć autorowi eposu, w chwili wyprawy męża miała zaledwie 14 lat. Kiedy czytamy słowa jej pieśni i zaklęć mamy wizerunek kobiety emocjonalnie dojrzałej. Nie wiemy jak wyglądała.

Znamy ją z posągu na murach obronnych Putywła, oplakującą poległych. Jest tam nie tylko kobietą rozpaczającą, ale nie tracącą nadziei na pomoc sił przyrody walczącemu wojsku męża. Oczekuje powro-

tu tych, którzy trafili do niewoli. Wizerunek oczekującej na męża Jarosławny został stworzony przez anonimowego autora eposu. Stała się symbolem rosyjskiej kobiety-patriotki w literaturze i sztuce, niezależnie od jej pochodzenia.

W odróżnieniu od Olgi, która pozostała w pamięci jako dzielna i mądra mścicielka męża (o okrucieństwie nie wspominano), Jarosławna pozostaje symbolem miłości, wierności, więzów małżeńskich i tęsknoty, potrafiącej nawet w beznadziejnej sytuacji czekać i nie tracić nadziei, zachowując uczucia do obrońców ojczyzny i wierność ich pamięci.

W pamięci pokoleń, w pieśniach i poezji pozostała po prostu Jarosławna, mimo woli stając się zbiorowym obrazem kobiet dawnej Rusi.

W lamencie Jarosławny mamy wiele elementów pogańskiego pojmowania sił natury i wiarę w moc sprawczą sił przyrody, ich emocjonalną reakcję na cierpienia ludzi. Jej płacz jest zaklęciem, przepelnionym miłością i wiarą w szczęśliwe zakończenie, że usłyszy go matka natura i przyjdzie z pomocą potrzebującym. Ale drogę Igorowi, gdy wraca z niewoli, wskazuje sam Bóg. Mamy tu splot elementów pogańskich i jeszcze świeżego chrześcijaństwa. Zrozpaczona kobieta zwraca się do wszystkich znanych jej mocy.

W przyszłości płacz Jarosławny na długie wieki pozostanie symbolem wszystkich kobiet czekających na powrót z wojny mężów, synów, ojców.

Jeżeli sam Igor jest postacią należącą do historii, to Jarosławna jest poza czasem

i przestrzeni. Pojawia się na różnych etapach literatury i sztuki (od folkloru po malarstwo i rzeźbę różnych epok). W spuściźnie kulturowej to symbol czułości, wierności, kobiecego bohaterstwa, ale też i pozycji społecznej. Pokazuje nam też pozycję kobiety w Starej Rusi - niezależnie od jej statusu.

W XVI wieku za panowania Iwana Groźnego status kobiet na kilka stuleci określi „dzieło” pt. „Domostroj”. Instruuje ono, jak należy utrzymywać kobiety w pokorze i posłuszeństwie wobec męża, jak chłostać kobiety, aby nie zniszczyć ich odzieży, by nie powodować strat materialnych dla męża.

Z reguły kobiety trafiały do panteonu lokalnych świętych prawosławnych, niektóre znamy tylko z imienia przybranego po wstąpieniu do zgromadzenia zakonnego, a ich zasługi oceniano po liczbie ufundowanych klasztorów i cerkwi. Należy nadmienić, że za brak męskiego potomka w rodzinie panującego zawsze oskarżano żonę. Cerkiew nie uznawała rozwodów, jedynym sposobem pozbycia się nieplodnej żony i szansą na powtórne małżeństwo było zesłanie jej do klasztoru wybranego przez panującego. W Rusi Moskiewskiej najczęściej był to Suzdal, w którym resztę życia spędzi jeszcze kilka żon panujących, w tym i pierwsza żona Piotra I. Takim przykładem może być Salomonina Saburowa, żona wielkiego księcia Wasyla III. Mimo jej sprzeciwu została mniszką o imieniu Sofija, po śmierci kanonizowana, jakoby zasłynęła cudami po śmierci. Jej wizerunek rzekomo uchronił klasztor od grabieży przez oddział A. Lisowskiego podczas okresu zamętu i interwencji polskiej na początku XVII wieku. Po „rozwodzie” Wasyl III mógł poślubić Helenę Glińską, matkę cara Iwana Groźnego. Jego małżonki też tam trafiały.

Dopiero Piotr I wyprowadzi je na salony, a nawet na tron, uhonoruje specjalnie stworzonym orderem „Św. Katarzyny”. Należy wspomnieć, że pierwszą żonę Jewdo-

kię Łopuchinę, mimo że urodziła już męskiego potomka, zesłał wbrew jej woli do klasztoru.

Czytając biografie panujących ruskich (moskiewskich) książąt spotykamy adnotację „zmarł bezpotomnie”, nawet jak był ojcem kilku córek. Nie będąc następczyniami na tronie - nie liczyły się. Nie odnotowywano nie tylko dat ich urodzin i zgonów, ale pomijano milczeniem ich istnienie, chyba, że zostały wydane za zagranicznych władców, ale wtedy możemy dowiedzieć się o nich z zagranicznych źródeł. O Helenie, córce Iwana III i Zoe Paleolog, żonie króla Polski Aleksandra więcej wiemy ze źródeł polskich niż rosyjskich. Tam akcentuje się tylko to, że zachowała wierność prawosławiu mimo wielkiej presji polskiego duchowieństwa i papieża Aleksandra VI Borgii.

W literaturze staroruskiej nie ma lirycznych postaci kobiet, są tylko w folklorze. Pierwsze literackie postaci pojawiają się dopiero pod koniec XVIII wieku. Możemy powiedzieć, że anonimowy autor „Słowa o wyprawie Igora” wyprzedził literaturę o kilka wieków. Nowy wizerunek rosyjskiej kobiety stworzą tacy giganci pióra jak Puszkina, Niekrasow, Turgieniew. Stworzą nowe wcielenie Jarosławny, przywrócą jej status, jaki miała wiele wieków wcześniej kobiety przyjaciela, strażniczki (a nie służy) ogniska domowego, kobiety silnej swą naturą, bohaterki. Motyw Jarosławny był popularny w poezji okresu drugiej wojny światowej, piękne strofy poświęcił jej poeta Paweł Antokolski.

Postać Jarosławny była popularna wśród poetów i dramaturgów przełomu XIX i XX wieków (Briusow, Cwietajewa, Berholz i inni), była też tematem dzieł malarzy (Pierow, Bilibin, Faworski, Rerych, Głazunow, Wasiliew).

Oprócz „Słowa o wyprawie Igora” piękny wizerunek tej postaci stworzył Borodina w operze „Kniaź Igor”, w której na równi z Igorem stanowią postacie centralne. Główny wątek opery rozwija się wokół po-

staci Jarosławny ujawnia prawdziwe oblicza ludzi z otoczenia Igora, zarówno bohaterów, jak i nikczemników.

Jarosław Mądry i rola kobiet w księstwie Kijowskim

W Rusi jak i w Europie dużą rolę odgrywały małżeństwa z cudzoziemcami. Nawiązane więzi rodzinne często owocowały korzyściami politycznymi. Rodzina Jarosława Mądrego (panował w latach 1015-1054) spokrewniła się z wieloma rodzinami panującymi. Jego siostry i córki były małżonkami panujących w Europie, pomagały w nawiązywaniu przyjaznych relacji z dworami europejskimi, w rozwiązywaniu problemów międzynarodowych. Poza tym były popularyzatorkami Rusi w Europie. Matki Rusinki kształtowały mentalność następców tronu. Sam Jarosław Mądry był żonaty ze szwedzką księżniczką Ingegardą, córką króla Olafa i Astrydy. Przy przejściu na prawosławie otrzymała imię Irena. Weszła do panteonu świętych prawosławnych jako Anna Nowogrodzka (to imię przybrała wstępując do klasztoru. W Kijowie założyła pierwszy monaster żeński). Została pochowana w cerkwi Mądrości Bożej w Nowogrodzie.

Ingegarda żyła w latach 1019-1050. W posagu otrzymała Karelię i miasto Aldeigjuborg (Stara Ładoga). O szczegółach ślubu szwedzkiej księżniczki i księcia Jarosława można przeczytać w sagach skandynawskich, rosyjskie źródła są nader skąpe. Streszczenia tych sag dokonała S. Kajdysz-Łakszyna, weszły one do tomu „Krug ziemnoj”. Potwierdzają one wspomniane wydarzenia historyczne. Niewątpliwie więzy pokrewieństwa i kontakty przyjacielskie Ingegardy miały wpływ na udane mariaże córek. Synowie też wzięli za małżonki księżniczki europejskie. Ingegarda dbała o staranne wychowanie i kształcenie dzieci. Jarosław Mądry poprzez mariaże polityczne dążył do wzmocnienia statusu Rusi Kijowskiej.



Jarosław Mądry

Siostra Jarosława Mądrego - Dobroniega Maria była żoną księcia Kazimierza I Odnowiciela. Otrzymała od Jarosława duży posag, a na Ruś powróciło 800 jeńców. Z tego związku urodziło się pięcioro dzieci, w tym Bolesław II Śmiały, Władysław I Herman. Stosunki z Polską dodatkowo umocniło małżeństwo brata Anny Jarosławny Izjasława z siostrą Kazimierza, polską księżniczką Gertrudą. Izjasław odziedziczył po ojcu (1054 r.) tron wielkiego księstwa kijowskiego. Inny syn Jarosława Mądrego ożenił się bizantyjską księżniczką, córką Konstantyna Monomacha. W rodzinach panujących w Europie znajdziemy też wielu potomków Jarosława Mądrego. Dlatego też Jarosław Mądry zyskał przydomek „teścia średniowiecznej Europy”.

Wnuczka Jarosława Eupraksja wyszła za mąż za Henryka IV i została cesarzową Niemiec. Najstarsza księżniczka Jelizawieta została żoną króla Norwegii Haralda III, który w młodości służył jej ojcu. Później organizował wyprawy na Konstantynopol, Sycylię i do Afryki. Przybył do Kijowa z bogatym łupem, zyskał uznanie księcia Jarosława. W drugim małżeństwie wyszła za króla Danii. Najmłodsza, Anastazja Jarosławna została w 1039 r. królową Węgier. Nasza bohaterka - Anna była trzecią (średnią) córką. Najpierw ojciec pró-



Medal z wizerunkiem Jarosławny

bował ją wyswatać z Henrykiem III, cesarzem niemieckim, niestety mariaż się nie powiódł ze względu na sytuację polityczną w ówczesnej Europie.

O jej rękę zabiegał król Francji Henryk I. Pierwsze poselstwo w 1049 r. spotkało się z odmową ojca księżniczki. Starzejący się król Henryk I (prawie pięćdziesięcioletni) potrzebował potomka i następcy tronu, dlatego też nie zraził się odmową. Drugie poselstwo zakończyło się sukcesem. Książę kijowski wyraził zgodę.

Anna Jarosławna (Agnessa Ruska/ Kijowska) w pamięci Francuzów została „Rudowłosą Agness” „Złotowłosą królową. Nie znamy dokładnej daty jej urodzenia, według różnych źródeł są podawane różne daty (1024, 1032, 1036) najbardziej prawdopodobny jest rok 1024; podobnie jak daty śmierci (1075 – mało prawdopodobna, raczej 1089). Była najmłodszą z trzech córek księcia kijowskiego Jarosława Mądrego ze związku z Ingegardą Szwedzką. Zakładamy, że wyszła za mąż w wieku 15-25 lat (w realiach rosyjskich 18-19). We Francji najczęściej podawaną datą jest 1025 rok. W obu źródłach podkreśla się, że córki księcia Jarosława Mądrego otrzymały staranne wykształcenie, znały grekę, łacinę, język szwedzki, gramatykę, historię, podstawy medycyny, uczono je śpiewu. Anna biegle czytała w kilku językach, szczególnie w staro-cerkiewno-słowiańskim pisanym cyrylicą i głagolicą. Edukacją zajmował się duchowny Iłarion, późniejszy metropolita kijowski.

Na kontrakcie małżeńskim Anna podpisała się po łacinie, Henryk I – postawił krzyżyk. Za wiarygodną uznaje się datę ślubu – 19 maja 1051 r. z owdowiałym, bezdzietnym Henrykiem I - królem Franków z dynastii Kapetyngów, synem Roberta II Pobożnego. Nie było to małżeństwo z miłości, raczej typowy alians polityczny. Poza tym wszystkie księżniczki z domów panujących w Europie były albo kuzynkami, albo ciotkami Henryka, a papież Grzegorz IV zabronił małżeństw między krewnymi. Stąd wynikała konieczność poszukiwania żony w dalekiej Rusi, nie spokrewnionej z europejskimi monarchami.

Francja toczyła wtedy wojny feudalne, była słabym, rozdrobnionym państwem. Henrykowi, by uratować dynastię potrzebny był potomek, a politycznie - potrzebne były dobre relacje Rusi z Bizancjum, skarby i dobre stosunki z panującymi w Europie ze względu na koneksje rodzinne, ponieważ Jarosław wydał już dwie córki za panujących w Europie i dążył do nawiązania kontaktów dynastycznych i wydania średniej córki za cesarza Niemiec. Te zabiegi skończyły się niepowodzeniem, dlatego w 1044 odmówił Henrykowi I, i dopiero drugie poselstwo Henryka I (1049 r.) zakończyło się sukcesem.

Małżeństwo to nie dawało Francji żadnych zdobyczy terytorialnych, co zostało zrekompensowane bogatym posagiem i umocnieniem pozycji Henryka w walce z opozycją feudalną. Dla kościoła najważniejszą część posagu stanowiła część relikwii świętego Klemensa, przechowywanych w Chersonesie, którą przywiózł duchowny będący w składzie poselstwa.

Anna Jarosławna na zawsze pożegnała rodzinę i wyruszyła w długą podróż (ponad dwa tysiące kilometrów) przez Kraków, Pragę i Ratyżbonę. Na dłuższy postój zatrzymała się w Krakowie na dworze swej ciotki Dobroniegi Marii, małżonki Kazimierza I Odnowiciela. Według jednych źródeł pobyt trwał kilka tygodni, według in-

nych kilka miesięcy. Podobno w czasie podróży nauczyła się języka francuskiego.

Anna w posagu oprócz złota, dywanów i futer przywozła bogaty księgozbiór z biblioteki ojca. Niestety, nie tylko król, ale i dostojnicy królewscy byli niepiśmienni i biblioteka, choć była cenna, była nieprzydatna. Wśród cnót rycerskich znajomość pisania i czytania nie należała do obowiązkowych. Była domeną duchowieństwa. W tamtych czasach wszystkie kobiety były niepiśmienne, trzy sfery życia (armia, kościół i polityka) były dla nich niedostępne.

Wjazd Anny do Francji był bardzo uroczysty. Mimo (jak na owe czasy) zaawansowanego wieku, (był już grubo po czterdziestce) i okazałej tuszy król wyjechał na spotkanie do Reims. Tam zgodnie z francuską tradycją odbywały się koronacje w katedrze Świętego Krzyża. Podczas ślubu odmówiła złożenia przysięgi na biblię łacińską, przywozła ze sobą przekład słowiański (Ewangelia Ostomira). Ciekawostką pozostaje fakt, że wszyscy królowie Francji aż do 1825 r. składali przysięgę na tę biblię. Nikt nie pamiętał skąd się wzięła, dopiero kiedy pokazano ją Piotrowi I podczas jego podróży po Francji i wizycie w Reims, w 1717 roku, car wyjaśnił im pochodzenie, wskazując autora przekładu, zaskoczył ich przeczytanym fragmentem. Co do oryginalności dokumentu zdania historyków są podzielone, część napisana cyrylicą podobno pochodzi z XIV wieku, część napisana głągolicą (zachowana we fragmentach w Reims) z XI wieku. Obecnie jest przechowywana w Bibliotece Narodowej Francji.

Tam odbyło się spotkanie z Henrykiem I. Podobno Anna była przerażona widokiem przyszłego męża, w jej oczach był to ponury, otyły starzec i już wtedy zwróciła uwagę na towarzyszącego orszakowi królewskiemu Raula IV de Crepi, hrabiego de Valois. Według kronik był to młody, bardzo przystojny, ideał ówczesnego rycerza, ale też bardzo okrutny i porywczy. Nazywano go wcielonym diabłem. Stał na czele opo-



Medal z wizerunkiem Jarosławy

zycji feudalnej wobec króla, był pretendentem do tronu. Podobno wzajemne uczucie Raula i Anny pojawiło się od pierwszego wejrzenia. Henryk I na wszelkie sposoby chciał odizolować Annę od Raula, zabierając ją w podróże po kraju. Podobno nawet podejrzewał, że jego dzieci są rezultatem niewierności Anny, ale cena tronu i sukcesji była zbyt wysoka, by dał poznać po sobie swój brak zaufania i zazdrość. Wzajemne uczucia udawało się Annie i Raulowi ukrywać aż do śmierci Henryka. Anna miała wówczas 27 (według innych źródeł 28) lat.

Samym widokiem Paryża była przerażona. Uznała je za miasto brudne, brzydkie i prowincjonalne, bez pałaców i świątyń. W tamtych czasach Kijów był trzecim co do wielkości miastem Europy (po Konstantynopolu i Kordobie). W XI wieku Paryż liczył 12 tysięcy mieszkańców, Kijów ponad pięćdziesiąt tysięcy i w porównaniu z Paryżem był miastem czystym, z wielkimi pałacami i świątyniami budowanymi z bizantyjskim rozmachem i bogactwem (świątynia świętej Zofii – kopia Hagia Sophija w Konstantynopolu). Przy świątyni była bogata jak na owe czasy biblioteka i szkoła.

Francuscy historycy przytaczają fragment listu Anny do ojca, napisany po jej przyjeździe: „Do jakiego barbarzyńskiego kraju mnie wysłałeś? Do śmierdzącej dziury, do Francji, do miasta Paryża. Tutaj mieszkania są ponure, kościoły nędzne, a maniery potworne. Powiedziałeś – Francuzi to mądrzy ludzie, ale nie znają nawet



Henryk I

pieca. Gdy zaczyna się zima rozgrzewają kominek. Od niego sadza na cały pałac, dym na całej sali, ale nie ma odrobiny ciepła. Ratują mnie tylko ruskie bobry i sobole”.

Anna Jarosławna żyła we Francji w okresie jej rozkwitu gospodarczego. Przywracano świetność starym francuskim miastom takim jak Bordeaux, Tuluza, Lion, Rouen, Marsylia. Był kontynuowany proces jednoczenia ziem Franków i ekspansja Henryka I na wschód. Francja rozwijała kontakty dyplomatyczne z wieloma krajami, w tym z Rusią Kijowską, Anglią i Imperium Bizantyjskim.

O jej rosnącym autorytecie w społeczeństwie francuskim świadczy fakt, iż uznaje się ją za współrządzającą z Henrykiem, ponieważ uzyskała prawo podpisywania dokumentów wagi państwowej, gdzie oprócz jej podpisu zachowały się też wzmianki pochodzące od króla „W obecności małżonki mojej”, lub „Za zgodą małżonki mojej Anny”. Jej wyraźny podpis jest umieszczany obok koślawych krzyżyków samego króla i niepiśmiennych królewskich dostojników. Było to unikalne zjawisko dla dworu francuskiego jedenastego wieku. Anna podpisywała się zarówno cyrylicą jak i po łacinie. Są znane dwa rodzaje jej podpisów: «Aime-regine» i «Regina Anna».

Wprowadziła wiele zmian w obyczajowości dworu francuskiego. Zauważyła, że Francuzi mycie się ograniczają do obmycia twarzy i rąk, a mycie całego ciała uważają za grzech. Łaźnie w Rusi Kijowskiej były powszechne, zgodnie z zasadą „ciało ma być czyste jak dusza”. Wspólną miskę do mycia zastąpiła łaźnią na wzór kijowski, podobnie skłoniła Francuzów do prania bielizny. Dwór poszedł za jej przykładem. Inną nowością było wprowadzenie sztucców i zastawy stołowej, które stanowiły część jej wyprawy. Na Ruś trafiły dużo wcześniej z Konstantynopola. Dwór królewski przestał jeść rękami i ze wspólnych naczyń. Jej ulubioną rozrywką były polowania, podobno świetnie jeździła konno, czym szokowała otoczenie. Dworzanie doceniali jej niezwykły umysł, dobroć, cierpliwość, umiejętność dogadywania się z ludźmi różnych stanów. Ponadto budowała szkoły, kościoły, fundowała klasztory.

W 1052 urodziła syna – następcę tronu, przyszłego króla Filipa I. W tym związku urodziło się jeszcze troje dzieci: córka Emma, synowie Robert i Hugo (między 1052 a 1057 rokiem). Trójka dzieci zasiadała na tronach europejskich.

Wiadomo, że Anna Jarosławna owdowiła w wieku 28 (27?) lat. Henryk I zmarł na atak serca w sierpniu 1060 r. w kulminacyjnym momencie przygotowań do wojny z królem angielskim Wilhelmem Zdobywcą. Koronacja jej syna Filipa odbyła się w Reims jeszcze za życia ojca w 1059 r. Filip miał wówczas osiem (według innych źródeł siedem) lat (panował prawie pół wieku – 48 lat; 1060-1108). Zachował się w pamięci Francuzów jako władca mądry, najbardziej wykształcony spośród władców ówczesnej Europy, ale leniwy.

W swoim testamencie Henryk I ustanowił Annę opiekunką syna, jednakże matka króla nie została oficjalną regentką. Zgodnie ze zwyczajami tamtych czasów opiekunem mógł być tylko mężczyzna i został nim szwagier Henryka I, hrabia Baldwin Flan-

dryjski. Anna zachowała swój status współpanującej królowej z małoletnim synem, o czym świadczą podpisy na oficjalnych dokumentach. Anna Jarosławna nie zaniedbywała spraw państwowych, towarzyszyła synowi podczas jego podróży po kraju. O jej aktywności politycznej świadczą dokumenty (między innymi donacje dla klasztorów), pod którymi był umieszczony jej podpis obok podpisu syna «Philippus cum regina mater sua» (Filip i jego matka królowa) oraz podpisy samodzielne «Anna mater Phitippi Retfos» (Anna matka króla Filipa).

Była jedyną kobietą tych czasów korrespondującą z papieżem. W archiwach francuskich zachowały się cztery listy papieża do królowej Anny. W trzech listach napisanych po łacinie papież Mikołaj II chwali Annę, pisząc m.in. „Słuch o Pani cnotliwości doszedł do naszych uszu i z wielką radością słyszymy, że wypełnia Pani w tym bardzo chrześcijańskim kraju swoje powinności królewskie z chwalebą gorliwością, kierując się wielkim rozumem”. Niestety, czwarty list papieża Aleksandra II z 1063 r. jest adresowany nie do niej, a do Raula de Valois, w związku ze skandalem, który wywołali Anna i Raul.

Anna stała się przekleństwem dla obu mężczyzn. Małżeństwo z Henrykiem trwało dziesięć lat i tyle samo trwały skrywane uczucia do Raula. Anna nie kochała Henryka, Bała się go, unikała, dlatego też potomek urodził się nie od razu, jak oczekiwano. Podobno Henryk śledził ją, starał się zabierać we wszystkie podróże po kraju, dawał jej duży zakres władzy, jakich nie miały inne żony panujących. Raul, przeciwnieństwo króla, podobno wielokrotnie namawiał ją do ucieczki. Anna stała przed wyborem: uczucie czy władza i lojalność. Wybiera to drugie. Raul podobno z zemsty za oddalenie ożenił się z inną, ale nie był to dla niego szczęśliwy związek, skończył się rozwodem.

Po śmierci króla Anna przeniosła się do zamku Senlis, który był jedną z głów-



Filip I

nych rezydencji królów dwu pierwszych dynastii francuskich – Karolingów i Kapetyngów. Ufundowała opactwo świętego Vincenta, zainicjowała jego budowę. Tam też latem 1065 roku podczas polowania w lesie koło Senlis nastąpiło „porwanie” (za jej zgodą) i przewiezienie do zamku Raula Crépy. Wybuchł skandal, królową oskarżono o porzucenie dzieci i grzeszny związek z żonatym mężczyzną. Papież Aleksander II nie uznał rozwodu Raula z poprzednią żoną, jak też zarzutów o jej niewierności. We wspomnianym czwartym liście papież Aleksander II nazywał go diabłem kusicielem, żądał odprawienia Anny, powrotu do poprzedniej żony i dwóch synów z tego związku. W 1063 roku papież Aleksander II ekskomunikował Raula. Ponadto Anna jako królowa nie miała prawa do zawarcia nowego związku małżeńskiego. Raul zlekceważył zarówno ekskomunikę jak i wywołany skandal. Ponad dziesięcioletnie pożycie z Raulem podobno było najszczęśliwszym okresem jej życia.

W 1074 r. po szczęśliwym dziesięcioletnim pożyciu z Raulem Anna ponownie została wdową. Podobnie jak pierwszy małżonek Raul zmarł na atak serca. Życie dla niej straciło sens, w ukochanej Francji czuła się obco. Poczula się starą, nikomu niepotrzebną kobietą. Była samotna. Już nie żyli rodzice oraz członkowie jej swity, któ-



Sobór św. Zofii w Kijowie

rzy przybyli z nią z Rusi. Nie było wsparciem dla niej także jej rodzeństwo. Coraz smutniejsze wieści otrzymywała z Kijowa. Trwała tam zacięta walka między jej braćmi o spuściznę po ojcu – Jarosławie Mądrym.

Syn Filip I już panował samodzielnie, ożenił się i nie potrzebował już rad matki w sprawach państwowych, a synowie Raula z pierwszego małżeństwa traktowali ją wrogo. Ostatni statut podpisany jej imieniem pochodzi z 1075 r.

Anna Jarosławna zmarła w 1082 r. w wieku około 50 lat. Nie wiadomo, gdzie spędziła ostatnie lata życia. Mówi się o tym, iż powróciła do Kijowa, co jest mało prawdopodobne, by w Kijowie nie odnotowano tego wydarzenia. Nie wiadomo też, gdzie znajduje się jej grób. Są wymieniane takie miejscowości jak Reims, Paryż, Kijów, Senlis. Żadne z tych miejsc nie znajduje potwierdzenia w wiarygodnych źródłach. Śladów grobowca nie znaleziono ani w grobowcu Saint-Denis, gdzie został pochowany Henryk I, ani w Saint-Benoit-sur-Loire, gdzie spoczywa syn Filip. Są przypuszczenia, że została pochowana w opactwie Saint-Vincent, ale podczas przebudowy klasztoru grób zniknął.

Do panteonu panujących we Francji wprowadziła nowe imię Filip. Jedni twier-

dzą, że greckie, inni, że skandynawskie, które później spopularyzuje się w całej Europie. Inna wersja głosi, że ku czci ojca Aleksandra Macedońskiego.

Od Anny Jarosławny pochodziło jedenastu królów z dynastii Kapetyngów, trzynastu z dynastii de Valois, siedmiu z dynastii Burbonów a jej ostatni potomek Ludwik Filip Orleański panował aż do rewolucji francuskiej. Był ostatnim monarchą Francji, zamykając historię – pierwszą znaną z imienia królową i ostatni panujący. Jednego z jej potomków (Karola VII) Joanna d'Arc zaprowadziła na tron. Anna często nazywana jest „babką Europy”.

W źródłach rosyjskich niewiele o niej wiadomo, w ukraińskich mamy obraz wyjątkowo wyidealizowany, po 1054 r. jej imię rzadko jest spotykane w oficjalnych dokumentach. W dokumentach dotyczących koronacji Filipa I w 1059 r. o Annie nie ma żadnej wzmianki.

Życie po życiu

Dzięki pamięci o Annie udało się w latach trzydziestych XX wieku uratować Sobór świętej Zofii w Kijowie, który był przeznaczony do wyburzenia. Dzięki interwencji Konsulatu Francuskiego u Stalina, by nie burzono pomnika historii, zbudowanego przez ojca królowej Francji, odstąpiono

od zamiaru, by nie psuć stosunków z Francją. W połowie XX wieku antropolog Francis Halter badał drzewo genealogiczne Ch. Darwina i udowodnił, że w prostej linii wywodzi się on od Hugo – młodszego syna Anny, o czym pisze Natalia Krutenko, ukraiński historyk sztuki.

Za jeden z jej pomników można uznać operę Antona Rudnickiego „Anna Jarosławna” (libretto Leonida Połtawy). Jej premiera odbyła się w 1969 r. w Nowym Jorku w Cornegie Hall, później wystawiano ją w Filadelfii i w Kanadzie i dopiero w 1995 r. w Operze Narodowej w Kijowie.

Postać Anny zapisała się również w kulturze masowej. W 1978 r. w ZSRR przy współpracy Studia Filmowego „Kadr” w Łodzi był nakręcony film przez reżysera Igora Maslennikowa „Jarosławna – królowa Francji”. W filmie zagrali również polscy aktorzy Bożena Dykiel (rola Dobroniegi) i Wiesław Gołas (Kazimierz Odnowiciel), kilku aktorów w epizodach oraz dwaj polscy kaskaderzy.

Znalazła swoje miejsce także w literaturze. W 1973 r. emigracyjny pisarz rosyjski Antonin Ładyński uczynił ją główną bohaterką powieści historycznej „Anna Jarosławna – królowa Francji”, a Walentyn Sokołowski napisał sztukę „Będziemy żyć wiecznie” (Jarosławna – królowa Francji) na podstawie własnej powieści „Anna, Anri i Raul”. Książka była dwukrotnie wydawana w Polsce, pierwsze wydanie (przekład A. Szymańskiego) ukazało się w 1978 r. w Wydawnictwie Łódzkim, drugie w wydawnictwie „Współpraca” w 1988 r.

Bracia Myszczukowie poświęcili jej piosenkę do słów Dawida Samojłowa „Królowa Anna”.

Francuzi nie zapomnieli o swojej kijowskiej królowej sprzed niemal tysiąclecia. Ku jej czci od wieków w Senlis jest organizowany doroczny obiad dla wdów, a w 2010 roku szkoła w Senlis otrzymała imię Anny.

Złoty medal „Anna Jarosławna – królowa Francji” („*Anna Yaroslavna – Queen*

of France”) został wybity z okazji obchodów 200-lecia Banku Francji w maju 2000 roku. Na awersie umieszczono: Anne de Kiev-Reine de France – **Анна Ярославна -Королева Франции**”. Na rewersie: „BANQUE NATIONALE D’UKRAINE, A l’occasion du Bicentenaire de la Banque de France B.”

W czerwcu 2005 r. w Sanlis odbyła się ceremonia odsłonięcia pomnika królowej Anny z udziałem prezydenta Ukrainy W. Juszczenki. Brązową 2,5-metrową statuę wykonali ukraińscy rzeźbiarze Walentyna i Nikołaj Znobowie. Pomnik został wykonany na koszt Ukrainy.

Ukraińska diecezja św. Włodzimierza Wielkiego w Paryżu, w 2013 roku nabyła kościół św. Wincentego, ufundowany przez królową Annę w 1060 roku za kwotę 203 tysięcy euro. Od listopada 2013 r. świątynia funkcjonuje jako greckokatolicka cerkiew, przy której działa ukraińskie centrum kulturalne Anny Jarosławny, promujące współpracę ukraińsko-europejską.

W 2012 r. został namalowany obraz przez malarza Ilię Tomiłowa „Anna Jarosławna – królowa Francji”.

Ciekawostką jest to, że podczas oficjalnej wizyty we Francji w 2017 r. W. Putin próbował zawstydzić E. Macrona informacją, iż francuscy królowie są potomkami Rosjanki, zapominając, że pojęcie Rosjanin-Rosjanka jeszcze wówczas nie istniało, a kijowianka była „tylko” Rusinką. Ukraińcy odebrali to jako próbę zawłaszczania własnej historii. Wypowiedź Putina wywołała wielką burzę wśród Ukraińców, głos zabrał prezydent P. Poroszenko z okazji ratyfikacji przez parlament holenderski Układu Stowarzyszeniowego „Ukraina-UE”. Ponadto oburzenie wyrazili szef UIPN, zastępca szefa administracji prezydenta, pisarka O. Zabuzko i inni.

W 2014 roku na Ukrainie wybito pamiątkową monetę ku jej czci.

Anna Kijowska zamieszkała w krakowskim magistracie

We wtorek, 19 listopada 2019 r. na dziedzińcu krakowskiego magistratu została

Odsłonięta rzeźba Anny Kijowskiej. Uroczystość była kulminacją serii projektów, mających na celu zacieśnienie współpracy i przyjaźni Krakowa i Kijowa. W wydarzeniu wzięła udział oficjalna delegacja Kijowa na czele z wicemercerem miasta Wałentynem Mondryjiwskim, oraz zastępca prezydenta Krakowa Bogusław Kośmider.

Rzeźba, która stanęła na dziedzińcu Pałacu Wielopolskich, została zaprojektowana przez Fedira Bałandina. Jej wykonawcą jest ukraiński artysta Konstantyn Skrutycycki. Pomnik został подарowany Krakowowi przez organizację społeczną „Cztery Królowe” przez Kijowską Miejską Administrację Państwową Kijowa podczas ubiegłorocznych Dni Kijowa w Krakowie.

Pierwszym większym przystankiem Anny w drodze do Francji był właśnie Kraków, gdzie miała odwiedzić swoją ciotkę, siostrę Jarosława Mądrego – księżną Marię Dobroniegę. Planowana na kilka tygodni wizyta przerodziła się w kilkumiesięczny pobyt Anny Jarosławówny w zamku na Wawelu.

Wykonana z brązu rzeźba dla Krakowa ma niecały metr wysokości i przedstawia księżniczkę Annę w okresie dzieciństwa. Księżniczka jest ubrana w długą szatę, na głowie ma delikatną koronę przypominającą wianek, do serca przytula księgę. Wszak



Anna Kijowska na dziedzińcu krakowskiego magistratu

przybyła na dwór francuski z oświeconego Kijowa Anna była jedyną piśmienną osobą we francuskiej rodzinie królewskiej.

Analogiczne rzeźby – sprezentowane przez Kijów w ramach projektu „Szlak Królowej” – zostały ustawione w miastach Tuluza (Francja) i Arlon (Belgia). Tuluza w podzięk za ten prezent wyhodowała specjalny gatunek róży o białych kwiatach, nazwany od imienia królowej – *Anne de Kyiv*.

Sadzonki tej róży zostały przekazane do Krakowa, a dzięki inwencji Zarządu Zieloni Miejskiej ozdobią one otoczenie rzeźby na dziedzińcu magistratu.

Przed uroczystym odsłonięciem rzeźby wicemercer Kijowa Wałentyn Mondryjiwskij i autor pomnika Fedir Bałandin wręczyli prezydentowi Krakowa Jackowi Majchrowskiemu specjalny okolicznościowy „Medal Kawalera Anny Kijowskiej”.

Medal jest wręczany za wyjątkowe zasługi na rzecz współpracy bilateralnej z Kijowem, promocję Ukrainy na świecie oraz lobbowanie w jej interesie. Odznaczenie jest imienne (podpisane nazwiskiem osoby odznaczonej) i numerowane. Prezydent J.Majchrowski otrzymał czwarty medal z tej limitowanej serii. Analogiczne odznaczenia otrzymali wcześniej tylko Prezydent Lotwy Dalia Grybauskaite, Gubernator Dżakarty (Indonezja) Anies Baswedan oraz Wysoki Komisarz Unii Europejskiej na Ukrainie. □

Dziennik Polski
19.11.2019 r.

Bibliografia

L. Bazyłow „Historia Rosji”, t. I., PWN, Warszawa 1983;

I. Kienzler „Cudzoziemskie żony i matki królów polskich”, Bellona, Warszawa, 2021;

A. Ładyński „Anna Jarosławna królowa Francji”, przekład A. Szymański, wyd. 2 „Współpraca”, Warszawa 1988;

«История России с древнейших времен до начала XXI века» под редакцией А.Н.Сахарова, Институт Российской Истории РАН. Москва, АСТ Астрель, «Гранзиткника» 2006;

Ponadto wykorzystano publikacje internetowe – polskie i rosyjskie.

RENATA SZUBAŃSKA

MARAIS

Dzielnica gejowsko-żydowska?! Zdarza mi się zobaczyć na twarzach moich rozmówców pojawiający się grymas przerażenia lub co najmniej zaskoczenia, gdy opowiadam, gdzie mieszkam w Paryżu.

Marais – dzielnica, która stała się oazą środowiska LGBT, nazywana jest również „sercem żydowskim” Paryża.

Ta tętniąca życiem, jedna z modniejszych i prestiżowych dzielnic przyciąga Paryżan i turystów z całego świata. Liczne muzea oferują wiele atrakcji kulturalnych, a artyści szukają tu inspiracji snując się malowniczymi uliczkami. Można tu podziwiać wiele perełek architektury, przepiękne kościoły, czy majestatyczne budowle jak Hôtel de Ville czy Rezydencja de Sully. W jednej z okazałych kamienic otaczających elegancki Place de Vosges mieści się było mieszkanie Victora Hugo, a pobliskie

muzeum Picassa przyciąga miłośników kubizmu. Nie brak tu też współczesnych akcentów architektury czy sztuki *street art*.

Ciekawa, kolorowa konstrukcja muzeum sztuki współczesnej, *Centre Georges Pompidou*, wywołała wiele kontrowersji, gdy pojawiła się w scenerii dzielnicy w latach siedemdziesiątych XX wieku. Dziś świetnie komponuje się z klimatycznymi kamienicami. Gdy się spaceruje ulicami Marais, zaskakuje różnorodność galerii sztuki, antykwiariatów czy kawiarni.

Miłośnicy mody znajdą zawsze coś dla siebie w jednym z luksusowych butików lub sklepie *vintage*. Znajdują się tu również restauracje znanych szefów kuchni, które gwarantują rozkosz dla podniebienia, natomiast na ulicy Rosiers można zjeść najlepszego w mieście falafela. To tu można spo-



Dzielnica Marais

tkać żydowskich mężczyzn w jarmułkach na głowach, a sklepiki z szyldami w języku hebrajskim, jak ten rodziny Finkelsztajn, kuszą swojsko brzmiącymi nazwami jak: sernik, chałka czy mazurek. W tym nazwanym od koloru swojej fasady „żółtym sklepie” zdarza się usłyszeć język polski i porozmawiać z przemiłym Polkami, które tam pracują.

Tuż obok mieści się synagoga, a pobliskie muzeum pamięci Shoah przypomina o niechlubnej i smutnej karcie historii – prześladowaniach ludności żydowskiej i Holokauście.

Kontrastem dla tej części dzielnicy są niewątpliwie, mieszczące się zaledwie kilka ulic dalej, gejowskie bary i kluby przyciągające tęczę kolorów i radosną atmosferą. Można tam spotkać przytulających się mężczyzn w rytmie techno lub muzyce z lat osiemdziesiątych, trzymające się za ręce kobiety i kelnerów w lateksowych, kuszych szortach z gołymi torsami. Tęczowe parasolki, barwne dekoracje, ekstrawaganckie stroje i atmosfera wiecznej zabawy charakteryzują to miejsce.

Jak to możliwe? Jak tak różne społeczności mogą ze sobą koegzystować w pokoju i akceptacji?

Aż trudno uwierzyć, że do XII wieku na terenach Marais było po prostu bagno, a rozwój tej dzielnicy przypada na XVII i XVIII wiek, nazywany również „złotym wiekiem Marais”. To wtedy francuska arystokracja zaczęła budować tu luksusowe pałace i coraz częściej spędzać swój czas. Po zawirowaniach Rewolucji Francuskiej Marais straciło swój prestiż, a w dzielnicy zamieszkała ludność żydowska.

To tu pod koniec XIX wieku zaczęli napływać prześladowani Żydzi, głównie z Europy wschodniej, a pod koniec lat 70. XX wieku zaczęły otwierać się potajemnie kluby gejowskie, w zaułkach zapomnianej dzielnicy.

Nie były one wtedy tu mile widziane również przez mieszkańców Marais.

Wszystko zmieniło się, gdy w 1982 roku doszło do zamachu na ulicy Rosiers, w którym zginęło 6 osób, a 20 zostało rannych. To tragiczne wydarzenie pomogło zjednoczyć się tym dwóm tak różnym światom. Połączyło je prawo do bycia sobą i walka z dyskryminacją oraz nienawiścią.

Dziś Marais przeżywa ponownie swój rozkwit. Jest to jedna z najbardziej pożądanych dzielnic Paryża.

Uwielbiam Marais nie tylko za jego artystyczną duszę, urokliwe uliczki i klimatyczne butik. Przede wszystkim zachwyca mnie atmosfera tego miejsca. Uśmiecham się, gdy widzę różnorodność kultur, które mogą koegzystować we wzajemnym szacunku i tolerancji.

Utopią byłoby jednak twierdzić, że żyjemy w idealnym świecie, w którym homofobia czy antysemityzm nie istnieją.

W 2010 roku, w jednej z tutejszych kawiarni, słynny projektant John Galliano tworzący dla luksusowego Domu Mody *Dior* został sfilmowany, podczas gdy wygłaszał swoje antysemityczne poglądy. Video, w którym artysta proklamuje uznanie dla Hitlera obiegło błyskawicznie świat i poruszyło opinię publiczną. Skandal kosztował drogo projektanta u szczytu kariery. *Dior* szybko pożegnał się ze swoim uwielbianym i praktycznie bezkarnym dyrektorem artystycznym, na którego ekstrawaganckie wybryki, alkohol i narkotyki przymykał do tej pory oko. Kariera artysty legła w gruzach. Z dnia na dzień stał się *persona ingrata* w środowisku mody, jak również w show biznesie.

Szokujące słowa skierowane do kobiety pochodzenia żydowskiego były obraźliwe nie tylko ze względu na ich znaczenie, ale również miejsce, w którym zostały wypowiedziane. Tuż obok mieści się bowiem szkoła, na fasadzie której można przeczytać: „165 żydowskich uczniów tej szkoły, którzy zostali wywiezieni do Niemiec podczas drugiej wojny światowej, zginęło w hitlerowskich obozach zagłady. Nie zapomnijcie”...



Centrum Pompidou

Środowisko LGBTQ+ jest również jedną z grup, która łatwo może stać się ofiarą nienawiści. Dlaczego inne wyznanie czy inna tożsamość seksualna od tej przyjętej za normę wywołują tyle agresji?

Francja jest dziś jednym z państw, gdzie małżeństwa homoseksualne są prawnie respektowane. W roku 2023 obchodzona była rocznica wprowadzenia prawa małżeństw dla wszystkich: *mariage pour tous*. Było to okazją do przypomnienia sobie, jak dziesięć lat temu na projekt ustawy, o przyjęcie której zaciekle walczyła ówczesna minister sprawiedliwości Christiane Taubira, zareagowało społeczeństwo. Demonstracje i hasła homofobiczne obiegły kraj. Przeciwno ustawie opowiedzieli się głównie przedstawiciele konserwatywnych ugrupowań i działacze Federacji Rodzin Katolickich.

Większość Francuzów było za przyznaniem prawa osobom tej samej płci do zawierania małżeństw. Pierwsza para homoseksualna powiedziała sobie przysłowiowe „tak” w 2013 roku w Montpellier. Można pokusić się o stwierdzenie, że na przestrzeni tych dziesięciu lat poziom tolerancji ewo-

luował. Tylko czy na pewno jest to zjawisko globalne?

Co roku, w czerwcu, przechodzi przez Marais kolorowa Parada Równości, po francusku *la Marche des Fiértés*, co oznacza w dosłownym tłumaczeniu „Marsz Dumy”.

Dziś z całą pewnością mogę powiedzieć, że jestem dumna. Jestem dumna z tego, że respektuję każdego człowieka bez względu na jego orientację seksualną, kolor skóry czy wyznanie religijne.

Zawsze raziły mnie wyszydzające żarty, homofobiczne, poniżające uwagi, rasistowskie czy antysemitowskie komentarze. Zostawiały niesmak, smutek i zniechęcały do rozmówcy, który je dumnie wygłaszał. Przeprowadzając się do Francji 8 lat temu z radością zaczęłam odkrywać ten nowy świat.

Nie jest on jednak wszechobecny i dany na zawsze, a ziarno nienawiści może szybko wykiełkować. Nie zapominajmy o tym! Życzę nam wszystkim, abyśmy czuli się dumni z tego, kim jesteśmy, a jednocześnie umieli zaakceptować inność drugiego człowieka; nawet jeśli będzie ona trudna do zrozumienia.

ROZMOWY PRZY OBIERANIU GRZYBÓW

Początek września. Pustoszeją miejsca pracowicie zadeptane przez wakacyjną klientelę pizzerii, punktów sprzedaży gofrów i pamiątek. Przyroda oddycha z ulgą, ale ma tę pewność, że to zaledwie na kilka miesięcy.

Bardzo lubię ten czas. Ci, co muszą, wracają do miejskiego kieratu. Dom, praca, szkoła, dom, praca, szkoła itd., itp.

Ja dlatego lubię ten czas, bo już nie muszę. Gdy jeszcze uczyłam, odczuwałam o tej porze emocje (najczęściej negatywne): jak to będzie w kolejnym roku szkolnym, jak zmienili się nasi podopieczni. Nagle zorientowałam się, że nie zastanowiło mnie nigdy to, jak zmienili się moi koledzy i koleżanki – kadra nauczycielska. Wydawało mi się, że to tylko uczniowie się zmieniają. A my? Ależ przeniędzy! My – to opoka. Twardzi, zaangażowani, realizujący wizję i misję. Wizja i misja! Pamiętacie? Pamiętamy, a jakże!

A to przecież nieprawda. Myśmy się też zmieniali, tylko za żadne skarby nie chcieliśmy się do tego przyznać, bo nie wypadało.

Nie wypadało przyznać się do narastającego wypalenia, do piętrzących się wątpliwości, gasnącego entuzjazmu. Kto oficjalnie przyznawał się, że ma po prostu dość? Kto oficjalnie narzekał na żebracze pensje? Oficjalnie nikt, bo po co się wychylać, bo co to da?

Takie niewesołe refleksje snułam przed moimi wnukami w naszej górskiej samotni. Moje wnuki są (mam nadzieję) normalne. Lubią tu przyjeżdżać na ostatnie wakacyjne grzybobranie. Lubią zbierać i czyścić grzyby. Tego lata urodzaj jest całkiem niezły. Siedzimy na werandzie, nasz pies podrzemuje, zupełnie nie mogąc pojąć dziwnych ludzkich obyczajów. Po co do trzystu fur kości zbierać jakieś grzyby? No, gdybyż to jeszcze w lesie rosły golonki, no to owszem, ale grzyby? Ci ludzie jak już coś wymyślą...



Czyścimy więc i segregujemy grzybową zdobycz. Rozmowa „okazjonalna”, czyli o tym, jaki będzie nowy rok szkolny.

- Babciu, nie żal ci, że już nie uczysz? – wnuczka jak zwykle stawia po kobiecemu konkretne pytanie.

- Bynajmniej. Wystarczy popatrzeć na to niebywałe wariactwo.

- Chwila, babciu – wnuk też stara się być konkretny. – W ogóle nic a nic nie żałujesz?

- A wy żałujecie, że już w październiku będziecie na studiach, a nie w szkole?

Przez chwilę nad werandą zapadło milczenie. Obydwoje moich wnucząt jak na komendę odrzekło, że nie żałują. Oczywiście, żebym nie myślała, że postawiłam trudne pytanie, usłyszałam od nich, że to przecież naturalne, kolejny etap w życiu młodego człowieka.

Zdenerwowałam się.

- A co wy sobie myślicie? Tylko młody człowiek ma prawo do nowych etapów w życiu? A ja – co jestem? Stara szafa? Zabytek jakiś, czy co? To emeryt, choćby nauczyciel nie ma prawa do jakiegoś nowego etapu?

Wnuki z ożywieniem zaprzeczyły. Oczywiście, emeryt ma prawo. Babcia też.

Ponownie zapytałam, dlaczego nie ma czego żałować, gdy chodzi o szkołę.

Wnuk akurat skończył ostrzyć mały nóż i gestykulując nim rzekł:

- Wiesz, babciu, kolegów, przyjaciół trochę żal. Ale to przecież zostaje na lata. A ci, którzy się wykruszą, no trudno, pewnie pójną swoją drogą. Takie jest życie i już.

Na werandę wkroczyła moja wnuczka. Przyniosła herbatę w kubkach i miseczkę ze smakołykami dla psa. Zainteresowany od razu porzucił drzemkę i rozpoczął intensywne niuchanie w celu sprawdzenia zawartości miseczki.

- Wiecie, mam wrażenie, że dlatego nie żałujemy tak bardzo szkoły, bo musieliśmy się tam uczyć bardzo wielu rzeczy zupełnie niepotrzebnych w dorosłym życiu, naszej przyszłej pracy...

Zaoponowałam, choć chyba trochę za słabo:

- Nie przesadzaj. Przecież podstawy ogólnej wiedzy musisz mieć...

- Taaak? – „najeżyła się” moja ukochana wnuczka. – A powiedz mi babuniu: po grzyba mi na polonistyce całki, różniczki i tego typu obciążenie mózgu?

- Fakt – stanowczo zabrzmiał dojrzewający bas wnuka. – Po kiego grzyba mi na wydziale mechanicznym katecheza? No, po kiego grzyba, babciu?

- Co wy tak z tym grzybami? Nie znicie innych określeń?

Zaczęliśmy się wspólnie śmiać. Pies znowu zrobił niezadowoloną minę. Widać zastanawiał się nad wpływem grzybów na normę psychiczną ludzi.

A swoją drogą „grzybowe” i „okołogrzybowe” refleksje nie są takie nieważne. Widać przecież, że w naszej szkole ilość wcale nie przechodzi w jakość. Nie przechodzi, bo nie może. Chcemy (tak nam się wydaje) nauczyć wszystkiego, a w rezultacie niczego nie uczymy porządnie. Uczeń przeciążony, świadom beznadziejności programowej, niewidzący sensu uczenia się rzeczy nieprzydatnych w dorosłym życiu, nigdy nie będzie dobrze wspominał szkoły.

Na dodatek młody człowiek w szkole i poza nią jest potwornie samotny, zagubiony w świecie wrogim, trudnym do pojęcia. Tej samotności nie wypełni zimny ekran laptopa czy smartfona. Nie wypełni, bo tam zamiast wymiany myśli najczęściej króluje hejt i „klikalność”. A na dodatek prawie znikąd pomocy. Szczególnie ze strony dorosłych. Pozostaje więc samotność. A w szkole? Na przerwach zamiast radosnego gwaru – cisza. Każdy wpatrzony w swój smart fon. Psycholog to postać prawie mityczna.

I po kiego grzyba nam taka szkoła?

Babcia

JEDENASTE PRZYKAZANIE

„Co mnie to obchodzi?”

„To nie moja sprawa”

„Co się będę wtrącał”

„To mnie nie interesuje”

Takich „skrzydlatych” stwierdzeń każdy zna masę. Są jak pancerna ściana, którą budujemy wokół siebie, wokół naszych najbliższych. Mamy przemożną chęć mieć taki prywatny, nienaruszony balon ciepła, spokoju, gdzie czujemy się bezpieczni, dokąd nikt niepowołany nie może przeniknąć. To tu jesteście panami przestrzeni i wydarzeń. Tylko tu.

A co obok? Aaa, to już nas nie obchodzi, to nie nasza sprawa.

Obok, tuż za ścianą sąsiad-bydlak tłucze żonę i dzieci. Zwrócić uwagę? A po co mi kłopoty, czy ewentualne mordobicie? Od tego przecież jest policja! Zgłosić? Eee tam, inni też to słyszą. Niech oni zgłoszą.

W pracy widzimy, co wyprawia szef. Też bydlak, tylko że w drogim garniturze. Zgłosić do władz? A po co mi kłopoty? Niech inni zgłaszają. To nie moja sprawa.

Sąsiadka nie sprząta odchodów po swoim psie. Zwrócić uwagę? Nie da się. Sąsiadka ma nie tylko niewyparzony język, ale i sygnal-

ka – kibola. Po co mi kłopoty? Będę uważał, by nie wdepnąć w psią kupę. Tak będzie wygodniej, bezpieczniej.

I tak dalej, i tak w kółko.

Skąd te moje beznadziejne (co do skuteczności) narzekania? Przecież na dobrą sprawę powyższe zjawiska były, są i będą. Awansowały do roli dobrze znanych marginaliów. Czasem tylko stają się medialną aferą, gdy ofiara rodzinnej przemocy umrze, bo nikt w porę nie zareagował. Wszyscy wtedy jesteśmy wzburzeni, że to tak być nie może, że ONI nic nie zrobili... Kto, jacy ONI? Ci ONI to MY sami. To ta nasza przeklęta chata z kraja, ta przeklęta nie nasza sprawa. I tutaj ilość zdecydowanie przechodzi w jakość. Nie reagujemy na małe świństwka małych ludzi o miątkich umysłach. Uczymy się wytrwale obojętności na coraz większe łotrostwa. Łotrostwa nie prymitywnego sąsiada-pijaka, lecz łotrostwa ludzi z pierwszych stron gazet, ludzi oglądanych w telewizji, prezentujących swe światłe poglądy w mediach społecznościowych. Twardniejemy wobec jawnego zbydlęcenia myśli i czynów. Tak jest

bezpiecznie, a poza tym to nie nasza sprawa. Gość, który nawet nie powinien czyścić toalet w Sejmie, szczerzy bezczelnie zęby do opinii publicznej, nawet nie próbuje wytłumaczyć się ze swoich przekrętów. Dlaczego? Bo przecież ma immunitet, a wraz z nim błogosławieństwo zwierzchników. Ale przecież nie zwierzchnicy wpakowali go w garnitur, w którym prezentuje się jak kogut w kalesonach. Nie zwierzchnicy wpakowali go w poselską ławę. Nie ci zwierzchnicy. To my. To my, którym nietęskno do myślenia, do dokonywania przemysłanych wyborów. To my, którzy nie chcemy mieć kłopotów, którzy tak naprawdę mamy to wszystko gdzieś, bo to nie nasza sprawa. To ci spośród nas, którzy nie pójdą na wybory, bo i po co? Już się przyzwyczajamy.

Onegdaj znakomity redaktor Marian Turcki za Romanem Kentem, prezydentem Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego, publicznie określił treść jedenastego przykazania, które powinno być tak ważne jak pozostałe dziesięć: **NIE BĄDŹ OBOJĘTNY!**

Z obojętności rodzi się wszelkie zło. Czy tak trudno to zrozumieć?

Marchoń

ROZWAŻANIA POD POMNIKIEM BOYA – 4 lipca 2023

Wszelka ozdoba ukrywa to, co zdobi

Fryderyk Nietzsche

Jakie to proste! I znowu się okazuje, że geniusz tkwi w prostocie. Oczywiście reguła reguła, lecz to tylko reguła, powiedziały nasz Bohater. Jako że bywają ozdoby – widać je często gołym okiem – które uwypuklają lub podkreślają piękno i wdzięki.

Serdecznie witam – w imieniu Zarządu Krakowskiego Oddziału TKŚ – wszystkie Osoby przybyłe na nasze roczne spotkanie pod popiersiem Tadeusza Boya Żeleńskiego. Witam nasze Bojowniczkę i naszych Bojowników, mających śmiałość

kontynuowania jego walki o godność człowieka oraz o jego zdrowie – w szczególności kobiet prymitywnie dyskryminowanych, mimo że one właśnie częściej narażają się na śmiertelne niebezpieczeństwo niż mężczyźni na wojnie.

Spotykamy się tutaj co roku w rocznicę – już 82 – tragicznej śmierci Tadeusza Boya Żeleńskiego, okrutnie zamordowanego nocą – z 3 na 4 lipca 1941 r. – wraz z innymi dwudziestoma pięcioma intelektualistami lwowskimi, głównie profesorami

Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Miał on wówczas lat 67.

Przypominamy uparcie tę zbrodnię, a zarazem stratę, jaką ponieśliśmy za sprawą tego rozstrzelania wybitnych polskich uczonych na Wzgórzach Wóleckich /Wuleckich/ – a wśród nich Tadeusza Żeleńskiego, wykładającego podówczas (do końca roku akademickiego 1940/41) literaturę francuską na Lwowskim Uniwersytecie. W grodzie nad Pełtwią pojawił się już 10 września 1939 r.

12 dni później Lwów został zajęty przez Armię Czerwoną. Wszyscy mieszkańcy miasta zostali zmuszeni do przestrzegania „wytycznych” obowiązujących „ludzi radzieckich” – w tym do publicznego prezentowania przekonań „właściwych”, takich jak np. „miłość do ustroju” (Tomasz Strzembosz, Tyg. Powszechny 20/1990).

Za nieobecność podczas publicznych aktów „spontanicznego entuzjazmu” dla nowej władzy groziło aresztowanie, uwięzienie, zesłanie do łagru. I dalej: Wobec polskich elit intelektualnych, naukowców i artystów, biurokracja radziecka stwarzała pozory daleko posuniętej wspólnotowości, „jednając” ich sobie – oczywiście „dobrowolnie” – w imię wiary w doskonałość „najbardziej postępowego ustroju”. Taki sposób bezwzględnie podporządkowywania sobie opornych zyskał wśród nich miano „terroru uwodzicielskiego”. (Janusz R. Kowalczyk, *Boy we Lwowie*, Culture.pl 19.12.2019).

– Świadek tamtych czasów malarka i rzeźbiarka Wanda Ładniewska-Blankenheimowa, w artykule „Z dwu ostatnich lat Boya (Lwów 1939–1941)” relacjonowała: „Uchodźcy z całego obszaru Polski zajętego przez Niemców szukali pracy we Lwowie, jakiegokolwiek, gdziekolwiek – byle otrzymać papierkę z pieczętką, byle wejść w poczet „ludzi pracujących”. Inaczej bowiem trudności [...] urastały do rozmiarów katastrofy. [Cytat za: *Zeszyty Historyczne* nr 4/1963]



Boy zatrudnił się zrazu – jako lekarz po studiach medycznych – w klinice dziecięcej. By nie rzucać się w oczy, pisze jego biografka Barbara Winkłowa. Co do deklaracji „Polscy pisarze witają zjednoczenie Ukrainy” Boy – już ujawniony jako pisarz – miał się wyrazić następująco: „Podpisuję tylko dlatego, że w tej rezolucji obiecują wolność słowa i nauki oraz walkę z dyskryminacją rasową i narodowościową, ale nie dlatego, abym wyrażał zgo-

dę na ich metody. Wyrażam zgodę dla celów nie dla metod. Dopóki te sprawy nie ulegną zmianie, nie zgodzę się na żaden rodzaj współpracy politycznej ani pisarskiej. Mogę objąć najwyżej katedrę romanistyki. [Cytat za: „Kultura” nr 15/1949].

„Po aresztowaniu grupy lewicowych pisarzy wstrząśnięty tym faktem Boy chciał wycofać swój podpis. Tylko w jaki sposób? Pełna polityczna i cenzorska kontrola nad prasą skutecznie to każdemu uniemożliwiła.” Kowalczyk, Culture.pl.

„Wanda Ładniewska-Blankenheimo-
wa przytacza rozmowę Boya z córką Feliksa
Kona, Heleną Usijewicz, która po przyjeździe
z Moskwy zauważyła, że we Lwowie brak
jest rewolucyjnych poetów. Na co Boy: „Prze-
cież aresztowaliście Broniewskiego”. Odpo-
wiedź: „No to go można wypuścić”. „Ale jak
go wypuszczą, to już przecież nie będzie pi-
sał jak dawniej!”, mówi Boy. „Dlaczego nie?”,
pada lakoniczne retoryczne pytanie.

*Pomyliliśmy się wszyscy. Oszukali nas.
Prawdą jest tylko, że w tym systemie nie
może żyć człowiek, który by chciał choćby
w najniklejszym stopniu wyrazić jakiś po-
gląd krytyczny. To najstraszniejsza niewola
myśli, jaką znają dzieje – ubolewał Tadeusz
Żeleński. (Kowalczyk, tamże).*

Badaczka jego życia Barbara Winklowa
stwierdziła, że nawet korzystając z ówczes-
nych sprawozdań prasowych można mno-
żyć przykłady zebrań, mityngów czy wie-
ców, na których Boya wcale nie było. Toteż
wszelkie pogłoski o dobrowolnym akcesie
Żeleńskiego do komunizmu w kremłow-
skim wydaniu są pozbawione podstaw
i rozgłaszane przez ludzi nieorientowa-
nych w sile rażenia zakłamej sowiec-
kiej propagandy. Borwicz przekonywał: –
Bezpośrednio po wojnie wypisano w Pol-
sce szereg artykułów o jego „zbliżeniu” się
do komunizmu. Nic bardziej wątpliwego.
Uczestnicząc w tym bieżącym życiu lite-
rackim Boy starał się unikać wypowiedzi
politycznych. Jeśli mimo to, z tej czy in-
nej okazji, wystąpił również na nieliterac-
kiej imprezie, trzeba pamiętać, że (choćby
wskutek popularności jego nazwiska i tych
– trochę przymusowych – honorów) wła-
śnie jemu było trudniej niż innym się od
tego uchylić. (Tamże).

W skład nowo powołanego związku pi-
sarzy wchodził – „w imię braterstwa na-
rodów” – Polacy, Ukraińcy i Żydzi. O po-
nownym przyjęciu każdego z kandydatów
decydował wygłaszany przezeń życiorys,
poddawany ostremu osądowi wszystkich
zgrupowanych na sali. Pewnego wieczoru,
gdy miano dyskutować przyjęcie do

związku Boya-Żeleńskiego, zebraniu prze-
wodniczył ukraiński pisarz Aleksander
Hawryluk. Wspominał Michał Borwicz:
Hawryluk trzymał w ręku życiorys auto-
ra „Brązowników” z bibliografią dziesiąt-
ków jego utworów oraz setek tomów jego
tłumaczeń z literatury francuskiej. W mo-
mencie gdy prosił „kandydata” o powsta-
nie, sam podniósł się z miejsca i powie-
dział: – W obecności pisarza, który stwo-
rzył więcej dzieł niż niejeden przeczytał,
nie on, ale ja winienem powstać. Sala spon-
tanicznie odpowiedziała hucznymi okla-
skami. Pod adresem Boya? Zapewne. Ale
również dla Hawryluka: za to, że tym jed-
nym i tak bardzo w gruncie rzeczy zwy-
czajnym zdaniem umiał bodaj na chwilę
przywrócić hierarchię rzeczy. (Tamże).

Tadeusz Żeleński nie skorzystał
z wcześniejszych propozycji ewakuowa-
nia się z bolszewikami w głąb ZSRR, jak
to uczyniła część literatów zrzeszonych
w związku pisarzy. Wandzie Ładniew-
skiej-Blankenheimowej, która spytała go,
czy skorzysta z tej propozycji, odpowie-
dział: „Takie imię synowi zostawię?”. Nie
uległ również jej sugestiom, żeby opuścić
dotychczasowe mieszkanie i ukryć się.
(Tamże).

W bieżącym numerze FMW pozwo-
liśmy sobie na historyczną „innovację”:
zamiściliśmy w nim mianowicie dłuż-
szą wypowiedź poprzednika (w pewnym
sensie) Tadeusza Żeleńskiego – Frydery-
ka Nietzschego, który z nie mniejszą ener-
gią, a nawet, można powiedzieć, z tą samą
co Boy zapalczywością, prowadził boje ze
skostniałym modelem kształcenia i wy-
chowania. Model ten, zasadzający się na
wpajaniu nieistotnych – z punktu widze-
nia życiowych potrzeb młodzieży i jej per-
spektywicznych ról i zadań do spełnienia
– oraz niepewnych detali historycznych
i nader wątpliwych wartości religijno-mo-
ralnych, Nietzsche zwalczał żarliwie i bez-
kompromisowo. Zamierzamy pokazywać
ten przykład w kolejnych odcinkach nasze-
go cyklu nietzscheańskiego.

Józef Kabaj



■ Człowiek musi być szalony. Nie potrafi stworzyć robaka, a tworzy dziesiątki bogów.

Michel de Montaigne

■ Człowiek jest odkryciem niedawnym, jak wykazuje bez trudności archeologia naszego myślenia. Wykazuje też ona możliwości jego rychłego kresu.

Michel Foucault

■ Istoty ludzkie, których zdolność do wykorzystywania doświadczeń innych jest wyjątkowa, są jednocześnie zadziwiająco niechętnie, by to czynić.

Douglas Adams

■ Człowiek rozsądny dostosowuje się do otoczenia, nierozsądny próbuje naginać otoczenie do swoich potrzeb. Więc postęp zawdzięczamy nierozsądnym.

George Bernard Shaw

■ Największym powodem do chwały nie jest to, że nigdy nie upadamy, ale to, że potrafimy się po upadku podnieść.

Konfucjusz

■ Człowiek wielki jest wielkim przez zakres swobody, jaki pozostawia swym żądom i przez jeszcze większą moc, która te wspaniałe potwory umie ujarzmić.

Friedrich Nietzsche

■ Prawdziwa siła człowieka tkwi nie w uniesieniach, lecz w niewzruszonym spokoju.

Lew Tołstoj

■ To znana rzecz: im większy pan, tym mniej ma wypisane na tabliczce nad drzwiami.

Karel Čapek

■ Ostateczną instancją dla człowieka jest człowiek, nie zaś żadna wartość absolutna.

Witold Gombrowicz

■ Bądź wierny sobie, a nie będziesz niewierny innym.

Francis Bacon

■ Potępieni niech będą ci, którzy nie znają żartu, albowiem oni nie rozumieją też powagi.

Jean Paul Sartre

■ Ogół łatwo myli tego, co łąwi w mętnej wodzie, z tym, kto czerpie z głębi.

Friedrich Nietzsche

■ Jeżeli Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, człowiek oddał mu wet za wet.

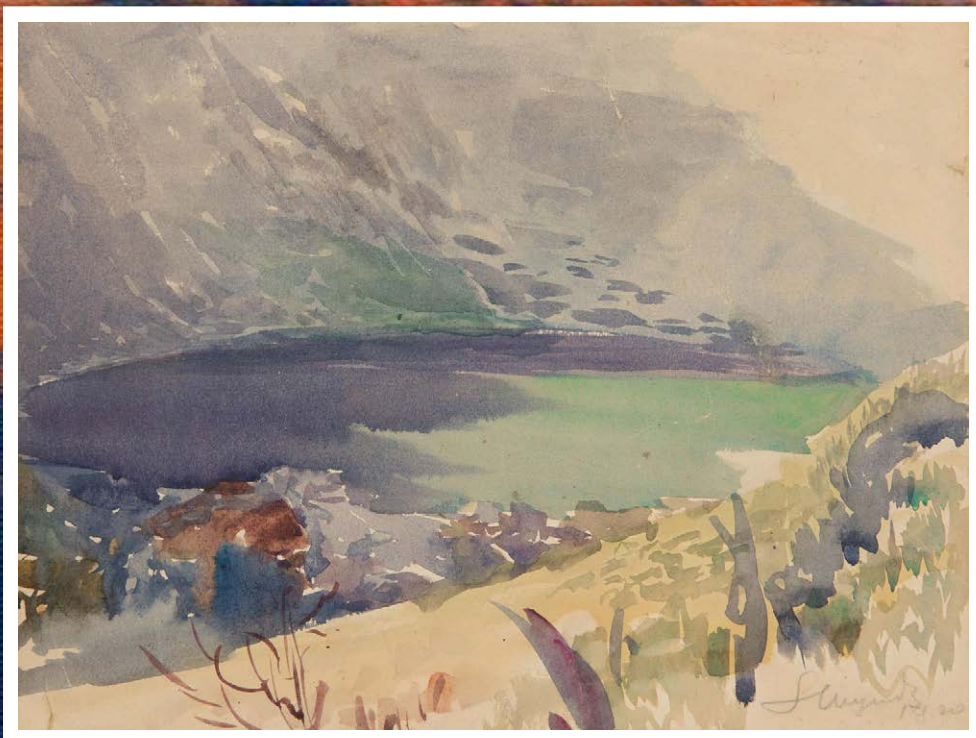
Wolter



Projekt okładki: Piotr Augustynek

Kompozycja stron: Artur Koziół

Grafiki: Piotr Augustynek. Zdjęcia: Antoni Pietryka, zasoby internetu



Leon Wyczółkowski
Czarny staw, 1905